



Korakora

A PLANETY SZALEJĄ

Kamil Sipowicz

Skan tej książki dedykuję
Dr Dariuszowi Ratajczakowi.

Człowiekowi, który został zaszczyty, zniszczony i w ostateczności doprowadzony do samobójstwa.

Moje urodziny - ósmy czerwca

Olga Jackowska

Urodziłam się w ostatni Pracowity dzień tygodnia W czerwcowy poranek

W piątek na dobry początek

Trzech braci już było i siostra

Dwóch braci już dawno nie żyje

Zawsze chciałam wyglądać jak chłopak

Robić to co chłopcy robili

Bez intymności przytulenia

Numer między numerami

Obserwatorium to tłumaczy

Dlaczego wolę spać sama

Nie znoszę kiedy ktoś się sili

I chce układać moje życie

Urodziłam się w przestępnym roku

Bładym ranem bladym świtem

Przeszkadzałam im tylko

Więc zamykali mnie w skrzyni

Ósmy czerwca upał jak co roku

Moje urodziny

Tak naprawdę Nie miałam kiedy pokochać braci

Rzuceni w różne świata strony Raj utracony

Bez intymności przytulenia Numer między numerami Obserwatorium to tłumaczy Dlaczego
wolę spać sama Nie znoszę kiedy ktoś się sili I chce układać moje życie

Urodziłam się w przestępnym roku Bładym ranem bladym świtem

Urodziłam się w ostatni Pracowity dzień tygodnia W czerwcowy poranek

W piątek na dobry początek

Bez intymności przytulenia Numer między numerami Obserwatorium to tłumaczy Dlaczego

wolę spać sama Nie znoszę kiedy ktoś się sili I chce układać moje życie
Urodziłam się w przestępnym roku Bładym ranem bladym świtem

Wstęp

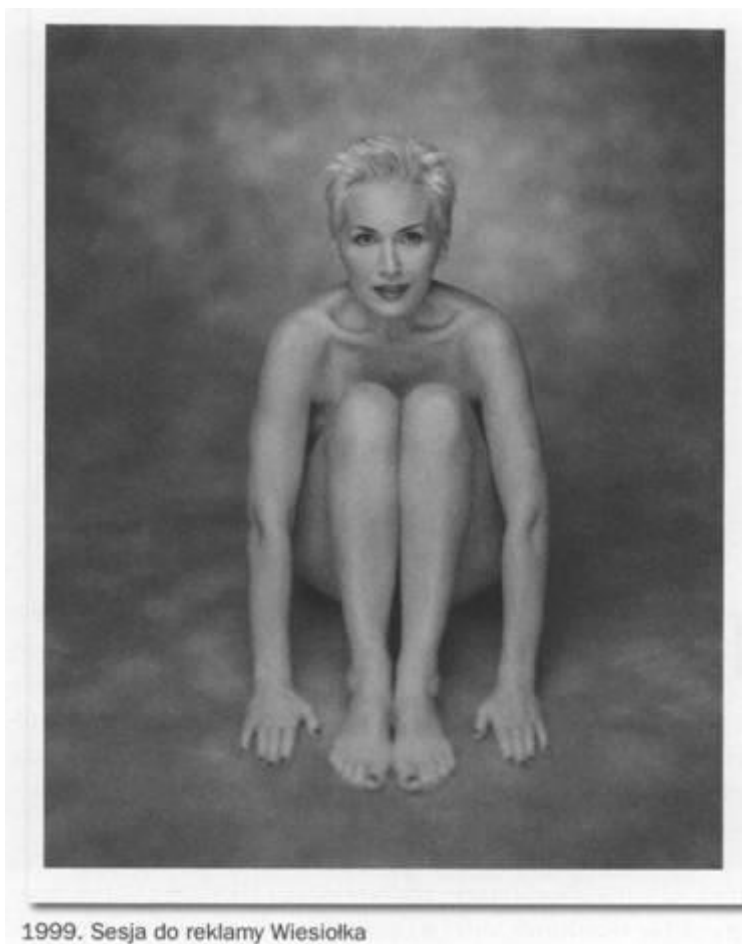
Urodziłam się w Krakowie w połowie czerwca. Jestem dzieckiem słońca. Moi rodzice byli wschodnimi repatriantami - mama pochodziła ze Lwowa, ojciec z Buczacza. Nie potrafili odnaleźć się w powojennej Polsce. Byliśmy bardzo biedni, w siedem osób mieszkaliśmy w trzydziestometrowej suterenie bez ciepłej wody i prądu.

Gdy miałam cztery lata, mama zachorowała na gruźlicę otwartą płuc. Kilka lat spędziła w szpitalu, a ja i moje rodzeństwo zostaliśmy na ten czas oddani do domów dziecka. Ojciec, odklejony od rzeczywistości przedwojenny bawidamek, nie potrafił zrobić jajecznicy, a co dopiero opieka nad piątką dzieci?! Został z nim tylko najstarszy z naszych braci, urodzony w 1945 roku. Pozostałych dwóch wysłano do państwowego domu dziecka, ja i moja starsza siostra trafiłyśmy do domu dziecka Caritasu w Jordanowie. Spędziłam tam pięć strasznych lat. W tym czasie umarł mój ojciec, a matka wyszła ze szpitala, ale do końca życia była już słaba i schorowana.

Do domu wróciłam w wieku dziewięciu lat. Nie byłam szczęśliwym dzieckiem. Bieda, brak intymności i własnego kąta w naszej klaustrofobicznej suterenie sprawiły, że odkąd pamiętam, uciekałam od tego świata. W wyobraźnię albo dalej. Kilkakrotnie podejmowałam próby samobójcze.

Na etapie liceum odkryłam cudowny świat hippisów i moje życie się zmieniło. Byłam szczęśliwa. Po maturze zdecydowałam, że zrobię sobie rok przerwy od nauki. Bardzo ostro hippisowałam i ćpałam. W Piwnicy pod Baranami zauważył mnie Marek Jackowski. Szukał mnie kolejny rok. Chyba tylko w tym celu przeprowadził się z Łodzi do Krakowa. I znalazł mnie. Pobraliśmy się. Przestałam ćpać. To był cudowny czas. Kraków tętnił życiem, jak już nigdy później był stolicą kultury, to tu rodziły się najważniejsze prądy w sztuce i teatrze, a ja mogłam w sposób dojrzały i przytomny w tym uczestniczyć. Urodziłam syna, nie mogliśmy jednak znaleźć mieszkania i przeprowadziliśmy się do Warszawy. Tutaj poznaliśmy Johna Portera i narodził się pierwszy Maanam. Muzyka stała się naszą odskocznią od szarżyzny życia. Poznałam Kamila. Zespół odnosił coraz większe sukcesy, ale w życiu było coraz trudniej. Urodziłam drugiego syna. A potem był rok 1980 i festiwal w Opolu. Stałam się gwiazdą. Graliśmy kilkaset koncertów rocznie. Nie wytrzymałam tego tempa i presji. Rozwiązałam zespół i rozwiodłam się. Kilka lat później zamieszkałam z Kamilem. Zespół jeszcze wracał w różnych składach, ale dziś śpiewam już solo. Właśnie wydałam płytę „Ping-pong” i wróciłam do dawno wydanej książki. Spojrzałam na nią na nowo, coś usunęłam, bo zmieniłam się od jej pierwszego wydania, pewne wątki rozwinęłam, bo nabrałam dystansu do spraw, o których wcześniej trudno było mi mówić. Coś dodałam, bo wiele się w moim życiu od tamtego czasu wydarzyło. To jest więc inna i ta sama książka. Zmieniło ją życie.

SPÓKA
BEZ KONTAKTÓW
KORAB



1999. Sesja do reklamy Wiesiolka

ROZDZIAŁ PIERWSZY:

Podwójna linia życia

„Myślę, myślę, myślę, myślę
Idę ulicą i dziwię się, że idę
Myślę, myślę, myślę, myślę
Ze wszystkich stron zachęcający szept" Hamlet

Jestem spod znaku Bliźniąt, na mojej dłoni linia życia jest podwójna. Co to znaczy - nie wiem. Mogę się tylko domyślać. Ale nie traktuję chiromancji/horoskopów poważnie. Człowiek jest tak skomplikowany i wielowymiarowy, że mówienie o podwójnej osobowości jest zubożeniem. Podwójna, potrójna, poczwórna, popiątna, poszóstna, podziesiątna, postodwudziestopiątna jest osobowość człowieka.

Nie jestem taka, jaką mnie opisują, nawet w tej książce. Nie ma faktów, są tylko interpretacje, jak powiedział Nietzsche. A być może sama siebie oszukuję? Może właśnie jestem taka, jaką chcą mnie widzieć ludzie? W każdym razie przez całe moje życie się przeciw temu buntuję. Buntuję się przeciwko wyobrażeniu ludzi o mnie. Zresztą żeby zacytować innego klasyka, Sartre'a - piekło to inni.

Stwarzamy sobie obraz drugiej osoby, lecz także obraz siebie samego. Do tego służy wyobraźnia. Ale często obraz, który tworzymy, nie odpowiada nawet częściowo rzeczywistości. Z drugiej strony wyobraźnia jest odpowiedzialna za marzenia i sny. A sny są dla mnie czymś ciekawszym niż jawa. Mówią o nas więcej. Co mówią? Tu należałoby zatrudnić Freuda i być może Lacana. W swojej antylogice, dziwności, inności sny są fascynujące. Pokazują potęgę naszego umysłu - on potrafi wyprodukować znacznie więcej niż to, co niezbędne do codziennego funkcjonowania. Czasem sny korespondują z naszymi problemami. To jak halucynogen bez halucynogenu. Mam doświadczenia narkotyczne, i pewnie także dlatego bardzo interesuje mnie

świat snu. Można w nim osiągnąć ten sam stan, odejść od rzeczywistości, ale bez użycia zewnętrznych środków. Całkowicie naturalnie.

Moje sny są często niezwykle, szalenie realistyczne i niekiedy determinują moje życie na jawie. Są o wiele ciekawsze niż moje życie. Staram się je interpretować. Szukam materiałów, opracowali naukowych na ten temat. Śnimy pół życia, nie można tej sfery lekceważyć.

Mężczyzna, którego bardzo kochałam, przyszedł do mnie ze snu. Był to sen seksualny, tak rozwibrowany, że zwróciłam na tego chłopca uwagę na jawie. Chciałam przekonać się, czy jest taki jak we śnie. I był.

Miałam wiele snów pięknych i symbolicznych. Śniła mi się śmierć. Byłam skazana i wiedziałam, że muszę umrzeć przez wstrzyknięcie trucizny, i bałam się, ponieważ boję się strzykawek i igieł. Uciekałam przed oprawcą z wymierzoną we mnie strzykawką i biegłam przez długi czarny korytarz, na którego końcu było wielkie okno. Dopadłam do tego okna i wtedy zobaczyłam piękną aleję. Naprzeciw mnie aleją szła kobieta ubrana na czarno, w strój, który nie był strojem naszej epoki: czarne delikatne koronki, czarna parasolka z czarnymi falbanami. Ja wiedziałam, że to jest śmierć. Szła do mnie, a ja, jak to we śnie, niemo ją przywoływałam. Ona, podchodząc do mnie coraz bliżej, zmieniała się w czarnego łabędzia i później, po jakimś czasie, czytając książkę Junga „Archetypy i symbole”, dowiedziałam się, że czarny łabędź jest symbolem śmierci. To było dla mnie piękne odkrycie.

Miałam też kilka niewytłumaczalnych przeżyć związanych ze snami. Wszystkie wydarzyły się w Rzymie. Myślę, że to miasto magiczne. Było to kilkanaście lat temu. Pojechałam jako aktorka ze Starym Teatrem z Krakowa na festiwal teatralny w Spoleto pod Rzymem. Graliśmy „Mątwę” Witkacego. Wracając do Polski, zatrzymałam się w Rzymie. Zamieszkałam razem z aktorką Ewą Kolasińską w starym rzymskim mieszkaniu naszych znajomych, którzy wyjechali na wakacje. Spałyśmy razem w prastarym małżeńskim łożu. Zaznaczam, że nie byłam ani pod wpływem alkoholu, ani papierosów, wtedy w ogóle nie paliłam. I żadnych narkotyków. Byłyśmy obie bardzo zmęczone. Ewa zasnęła,

a ja nie mogłam i usiłowałam bezskutecznie dozwonić się do Polski. Leżałam i nagle nad Ewą przy oknie zobaczyłam postać mężczyzny, jakby utkaną z rozedrganego światła. Pamiętam, że był to mocno opalony blondyn, w niebieskiej, jakby płynnej koszuli. O dziwo, nie bałam się, tylko tak mnie to zaskoczyło, że obudziłam Ewę i zapytałam ją, czy też to widzi. Było to dla mnie tak naturalne, że ten mężczyzna jest w powietrzu, że sądziłam, że ona też musi go widzieć. Ewa nie widziała nic. Była to zjawą, lecz czym lub kim to było, nie wiem do dziś.

Drugą podobną przygodę miałam w Rzymie przy fontannie di Trevi. Popołudnie, wakacje, tłumy ludzi. W pewnym momencie ucichł gwar i poczułam się tam zupełnie sama, w zupełnie innym czasie i innej przestrzeni. Stałam w miejscu, panowała zupełna cisza i czułam, że jestem tam tylko ja, ale odczuwałam też obecność mojego ukochanego, który był wtedy w Polsce. Tylko ja i on. Było to bardzo piękne, metafizyczne przeżycie.

Podobne stany miałam często w Krakowie. Mieszkałam sama z dziećmi, rozwiodłam się właśnie z mężem. Zdarzało mi się, że budząc się, widziałam mój sen na jawie. Siedząc już przebudzona na łóżku, to, co mi się właśnie śniło, obserwowałam w takiej mikroskali na podłodze. Rozgrywały się tam sceny jeszcze ze snu. Mój starszy syn Mateusz widział, jak z natężeniem obserwowałam fragment dywanu. Mówił coś do mnie, a ja nie reagowałam. Te przeniesione ze snu na jawę sceny były dla mnie czymś bardzo tajemniczym, niewytłumaczalnym. Przeżyłam dużo sytuacji, które trudno byłoby racjonalnie wytłumaczyć. Nie były to w każdym razie żadne wizje narkotyczne.

Jak interpretuję podwójną linię życia na mojej dłoni? Życie artysty jest takim podwójnym życiem. Są artyści, którzy obierają tylko jedną drogę, drogę sztuki. Nie decydują się na normalne, stereotypowe życie z domem, dziećmi, i tak dalej. Ja najpierw byłam żoną i matką dwojga dzieci, a dopiero potem artystką. I czułam się rozdwojona.

Dlatego nie toleruję w domu adrenaliny, która towarzyszy życiu artystycznemu, a kiedy pracuję - nagrywam albo wyjeżdżam w trasę - zapominam o domu. Nie jestem w stanie tych dwóch światów połączyć. One są absolutnie od siebie odseparowane. Jedyнным punktem styczonym jestem

ja.

Czasami miałam wręcz wrażenie, że jestem nienormalna, że coś ze mną nie tak. Wyjeżdżałam na długie trasy koncertowe i nie tęskniłam za domem, jakby w ogóle nie istniał, jakby go ktoś gąbką starł z tablicy. A to jest właśnie to podwójne życie. Ludzie, którzy widzą mnie na scenie, wyobrażają sobie, że taka sama jestem w domu: agresywna, z wielkim temperamentem. A ja w domu kocham spokój. Pielęgnuję go.

Miałam ostatnio piękny sen pełen spokoju. Kiedy się obudziłam, byłam ogromnie szczęśliwa, że taki sen spotkał mnie w moim wieku. Bo one zdarzają się z reguły ludziom bardzo młodym. To wielkie szczęście, jak się taki sen przyśni.



Mama, Tato, w wózku brat Andrzej Ostrowski

ROZDZIAŁ DRUGI:

Byłam numerem osiem

„Nie wiem, kiedy odleciały Czarne Ptaki mojego dzieciństwa świat swój zamykam do drżącego powietrza, żabiego skrzeku I śliskich kamieni”

Czarne Ptaki mojego dzieciństwa

Jako mała dziewczynka dwa razy umarłam i zmartwychwstałam. Do dziś tego nie rozumiem. Było to podczas wakacji. Bawiłam się plasteliną - uwielbiałam to robić - lepiłam śmieszne ludziki,

zwierzątka. I zjadłam tę plastelinę, a ponieważ dorośli mi mówili, że jak się plastelinę je, to się umiera, położyłam się na murku i umarłam. A potem zmartwychwstałam.

Dzieci mają ogromną wyobraźnię i zupełnie inne poczucie czasu i przestrzeni. Nie są jednak

w stanie tego wyartykułować i nie odczuwają pewnie wcale takiej potrzeby, bo wydaje im się, że wszyscy odczuwają tak samo jak one. Z wiekiem te nastroje się upraszczają, wkracza z buciurami rozum, wyrachowanie, wola, chęć przypodobania się i inne świństwa. Myślę, że dojrzewanie, oprócz towarzyszących mu objawów fizjologicznych, dlatego jest tak dramatyczne, że jest utratą pierwotnego cudownego zauroczenia światem. Dojrzewanie jest utratą raj. Dzieci są w stanie skoncentrować się na cudowności świata, przyrody, życia. Postrzegają, odczuwają, przepuszczają to wszystko

przez siebie i oddają z powrotem światu. Niewiele zatrzymują. Dorośli potrafią bardzo łatwo tę dziecięcą wrażliwość stępić.

Byłam wrażliwym dzieckiem. Mieszkałam w domu dziecka. Nie było telewizji, słuchałam radia, fascynowało mnie życie, które było wokół mnie, pode mną - dostrzegałam najmniejszego robaczka - i nade mną: chmury, słońce, wiatr. Czytałam mnóstwo bajek, i to jeszcze bardziej ożywiało świat. Pamiętam, że jak wchodziłam do lasu, gdy przekraczaliśmy cudowny strumień z kamieniami, zarośnięty łopuchami i łopianami, to wydawało mi się, że trzeba bardzo delikatnie stąpać, bo tam mieszkają krasnoludki. Zaglądałam delikatnie pod muchomory, aby nie spłoszyć krasnoludka.

Dzisiaj bardzo wyraźnie odczuwam u ludzi brak duchowości. Nie kształci się w dzieciach wyobraźni. A człowiek pozbawiony wyobraźni pożąda coraz więcej rzeczy materialnych, które pieszczą oczy i stwarzają pozorne poczucie bezpieczeństwa. To jak nekrofilia: ukochanie martwej materii. Nie kochamy jednak tego, co już mamy, tylko to, co chcemy mieć. Szczęście jest niemożliwe, a napięcie ciągle. I niecierpliwość. „Człowiek współczesny rości sobie prawo do trzeźwego myślenia, ale to trzeźwe myślenie prowadzi nas krętymi korytarzami koszmaru rozumu.:

Życie dziecka jest bardzo zbliżone do śnienia. Pewne rzeczy, które są niemożliwe z racjonalnego punktu widzenia, w dzieciństwie się zdarzają. Dlatego że tak przeżywa to dziecko.

Być może nie umarłam na murku po zjedzeniu plasteliny, ale byłam przekonana, że nie żyję. Później - jeszcze jako dziecko - odbierałam sobie kilkakrotnie życie. Już całkiem świadomie nie chciałam żyć.

Jako mała dziewczynka żyłam w nędzy. Mieszkałam w suterenie z chorą matką i braćmi pijącymi alkohol.

Mój ojciec pochodził z bardzo licznej bogatej rodziny. Dziś domyślam się, że był maminsynkiem - piękny chłopiec faworyzowany i kochany przez kobiety Nie był przygotowany do życia w trudzie. W ogóle nie był przygotowany do życia - ani w pierwszym małżeństwie, z którego miał trzy córki, ani później z nami. Cały ciężar pracy, utrzymania i prowadzenia domu spoczął na mojej matce. Ale zachorowała na gruźlicę. Trzeba było podjąć decyzję, co zrobić z piątką dzieci. Z ojcem został najstarszy, szesnastoletni brat. Był naturalnie najbardziej samodzielny i matka uznała pewnie, że jakoś sobie poradzi. A my - pozostała czwórka - zostaliśmy rozrzućeni. Ja miałam wówczas cztery lata i ze starszą siostrą trafiłam do Caritasu, czyli domu dziecka prowadzonego przez zakonnice w Jordanowie w klasztorze sióstr Prezentek, a dwaj moi starsi

bracia zostali umieszczeni w państwowym domu dziecka gdzieś pod Pilicą. Dziś zostaliśmy tylko w trójkę. Ja, moja o siedem lat starsza siostra i jeden z tych braci. On bardzo ciężko wspomina czas spędzony w domu dziecka, w ogóle do tego nie wraca. My z siostrą wciąż o tym mówimy.

Spędziłyśmy w domu dziecka pięć lat. Prowadziły go zakonnice, które psychicznie i fizycznie znęcały się nad dziećmi. Zostałyśmy umieszczone w różnych grupach, zakonnice nie pozwalały nam na kontakty. Cały czas się bałam. Bałam się być sobą, bałam się domagać swoich praw Bałam się zaprotestować przeciwko wielu niedobrym rzeczom, które się działy. Właściwie jedyną opoką była moja siostra. Wprawdzie niedużo starszą bo o siedem lat, dla mnie była jednak jak matka i to zostało mi do dzisiaj. Wtedy wydawało mi się, że to jedyna osoba na świecie, do której mogę się zwrócić ze swoimi kłopotami, a tak naprawdę ona przecież też niewiele mogła pomóc. Miała przecież tylko jedenaście lat... Przypominam sobie także taki obrazek: moja siostra miała mi przyszyć coś przy płaszczu, chyba dragonik, a zakonnica złośliwie nie dopuszczała jej do

mnie. W ogóle nie mogliśmy się widywać, tak jakby to nie była moja rodzina. Udało nam się spotkać raz czy dwa razy, bo wpadłam w jakąś całkiem niedzięciwą furję, zdemolowałam dużą salę z metalowymi łózkami, w której mnie umieszczono, i zrobiłam z tych łóżek piramidę. Wyciągali mnie spod sterty tych rozwalonych łóżek i materacy. Bardzo za siostrą tęskniłam, w mojej grupie nie miałam żadnej bratniej duszy. Mama nas nie odwiedzała, była w sanatorium zamkniętym. Po pewnym czasie, kiedy mama, jeszcze bardzo słaba, wróciła do domu, przyjeżdżałyśmy do niej na święta i wakacje. Nigdy nie prosiłam jej, żeby zabrała mnie z domu dziecka. Nie skarżyłam się. Wiedziałam, że muszę tam być. Po prostu. I tyle.

W domu dziecka byłam bardzo samotna i nieszczęśliwa. Ale były też momenty, kiedy czułam się dobrze. Zachorowałam, zostałam umieszczona w izolatce i zakonnica przyniosła mi książki, żebym sobie oglądała obrazki. Ale, nie wiadomo skąd, ja umiałam czytać. I to mnie uratowało od kompletnego załamania. Zakonnice na początku nie mogły uwierzyć, że potrafię czytać. Dopiero jak opowiedziałam im bajkę, pozwoliły mi, pięcioletniej dziewczynce, korzystać z biblioteki. Moja pierwsza książka to „O krasnoludkach i sierotce Marysi”, potem „Na jagody”. Pamiętam je doskonale. Czytałam wszystkie baśnie Andersena. Po kilka razy. Za każdym razem było to dla mnie przeżycie. Potem czytałam też w nocy, przy świetle gwiazd i księżyca. Jak mnie zakonnice przyłapały, była kara.

Jak nie miałam dostępu do książek, byłam potwornie nieszczęśliwa. Siostry twierdziły, że niszcę obwoluty. Książki do dzisiaj są moją największą miłością, uzależnieniem. Ja muszę czytać. Gdy mieszkałam kilka miesięcy u wujka, czytałam to, co było w jego bibliotece - jakieś dziwne romansidła w rodzaju „Krystyny”: W szkole podstawowej pozytywistów, Sienkiewicza, całego Iwaszkiewicza, ale także literaturę amerykańską, francuską. Na lektury szkolne nie starczało mi czasu ani ochoty.

W Jordanowie lubiłam też spacerować Łąki, las i strumyki. Do dzisiaj jestem przekonana, że widziałam wtedy krasnoludki! Od jednej siostry dostałam sweterek, czerwony, wydziergany. To był taki cywilny sweterek, bardzo prywatny, intymny. Koło naszego domu dziecka rozbijało się czasem wesołe miasteczko. To też była frajda. Te chwile pomagały mi przeżyć, kiedy zbliżał się koszmar nocny. Wieczorem siostry rozdawały nam kary, a potem noc, i moczenie nocne. Jak się zmoczyłam, to przez kilka godzin musiałam trzymać prześcieradło w górze, siostra przychodziła z latarką, brutalnie wyrzucała z łóżka i zapędzała do prania. W nocy i jakieś dziwne zdarzenia, które dzisiaj rozumiem, ale wtedy wydawały mi się czymś niezrozumiałym, na pograniczu thrillera i horroru. Bałam się iść do łazienki, bo coś strasznego mnie w tej łazience spotkało.

Dziś wydaje mi się, jakby to była scena z filmu Buñuela, jak ze złego snu. Wstałam w nocy, bo chciało mi się sikać. Nasza sypialnia miała dużo łóżek i wychodziło się na wielki korytarz. Po prawej były szatnie i przez nie przechodziło się do ubikacji, po lewej łazienka, do której chodziłam w nocy prac zasikane prześcieradła. Przeszłam w tych strasznych ciemnościach do ubikacji.

Bałam się, bo my ciągle byliśmy faszzerowane przez zakonnice bajkami o duchach, kulistych piorunach, nietoperzach. No i ten tajemniczy ogród za oknem. Noc zawsze łączyła się ze strachem. Musiałam jednak przebrnąć przez ten strach, bo zsikanie się do łóżka było jeszcze gorsze. Wchodzę do ubikacji i słyszę jakieś dziwne głosy, rodzaj takiego dziwnego jęku i przeraźliwy szept: „Uciekaj, uciekaj”. Zostałam zupełnie sparaliżowana, nawet teraz mnie ciarki przechodzą. Nigdy jako dziecko nie doszłam, co to było, ale pozostało to bardzo głęboko w mojej pamięci. Usiłowałam potem sobie zrekonstruować, co to mogło być, i pewna jestem, że oczywiście nie było to żadne z dzieci. Prawdopodobnie zakonnica w negliżu, przecież nie spały w tych pierdolonych kometach, w tych kwadratach na głowie, krochmalonych na sztywno, drewnianych. Musiały się przecież też rozbierać. Jedna z nich spała za parawanem w naszej sali

i pilnowała. Za przepierzenie nie można było, broń Boże, zajrzeć. Toż to była kara śmierci, żeby tam zajrzeć, za parawan. I pewnie była goła, a nie chciała, żebym ją zobaczyła. To tak jak larwa, która pozbywa się swojego pancerza, albo jak czarownica, która pozbywa się dziesięciu peruk, które ją przyozdabiają. Widocznie ona usłyszała, że któraś z nas się zbliża, i przestraszyła

się. Wtedy też oczywiście nie mogłam się wysikać.

Potem wydawało mi się, że w łazience straszy Wstrzymywałam, śniło mi się, że sikam do kontaktu, że nie będzie widać, że nasikałam, że nic się nie stanie, i znów sikałam do łóżka. Nerwica. Wspominam to jak najgorszy horror.

Tam panowała taka wojskowa hierarchia - były zakonnice z bogatych domów, piękne i wykształcone, potem te z prostych rodzin, a najniżej my, dzieci. Zakonnice miały precyzyjny podział zajęć. Jedna była od kuchni, jedna od magła, od prania, gotowania, nauczania, od ogrodu, od świń, od krów. Była to właściwie samowystarczalna społeczność. Każda dziewczynka miała zakonnice, która się nią opiekowała. Ja miałam siostrę Martę, szefową kuchni. Wszystkie zakonnice wiedziały, jakie jest ich miejsce, i dbały o czystość, co jednak nie zmienia faktu, że wszystkie miałyśmy wszawicę; higiena w tamtych czasach nie stała na zbyt wysokim poziomie. Była, co prawda, ciepła woda, ale dziewczynki myły się raz na tydzień i wystarczyło, że jedna miała wszy, byśmy wkrótce wszystkie były zawszone.

Zakonnice były dla nas w patologiczny sposób okrutne. Biły, wykręcały uszy, kazały - jak w bajce - klęść na grochu, znęcały się psychicznie. Miałam tak powykręcane, naderwane uszy, że dosłownie zwisały mi z głowy. Pod koniec tygodnia gromadziły nas wszystkie i było publiczne pokazywanie rajstop. Miały być białe, ale przecież po tygodniu używania nie mogły być białe! I kara. Jeśli same nas nie biły, to starsze dziecko miało bić młodsze. Nie miałyśmy imion. Nikt nie wołał na mnie: Oleńko albo Gwiazdeczko, jak nazywała mnie mama. Byłam numerem osiem.

Bo były dwie mateczki. Jedna - dzisiaj z siostrą twierdzimy, że ona była miła - duża kobieta, taka powiedzmy sobie Matka Boska. A druga była jej przeciwieństwem, diabłem wcielonym. Wiktoria. Lesbijka, jak się potem okazało. To była bardzo ostra suci. Na całe szczęście nie interesowała się takimi małymi dziećmi jak ja. Ona interesowała się moją siostrą, która była nadzwyczaj atrakcyjna jako młoda dziewczyna.

Kościół był blisko, pamiętam. Przechodziło się tylko przez plac, zawsze grupą szło się do kościoła. Bardzo lubiłam procesje majowe. Miałyśmy

koszyczki, jakieś stroje odświętne, wianki. Pamiętam ten koszyczek i „Święty, święty, święty Pan, Bóg zastępów, pełne są niebios a i ziemia chwały Wojd”. I oczywiście jeszcze jasełka. Trzeba było się nauczyć roli. Na początku podawałam ręcznik i gwoździe. Piłatowi ręcznik. Gwoździe przynosiłam przez scenę. Nieprawdopodobnie byłam przejęta, czy czegoś nie zepsuję. No i byłam mówiącą wierszyki.

Bardzo bałam się na przykład Świętego Mikołaja. Przerazał mnie, jak wszystko, co przebrane, w masce, zakryte, niejasne. Zakonnice nie mogły tego zrozumieć - jak można bać się kogoś, kto przychodzi z prezentami?! Gdybyśmy to, o czym opowiadam, oglądali w kinie czy teatrze, to powiedzielibyśmy: Boże, jak to możliwe?! Ale kiedy jest się w środku tego wszystkiego, kiedy jest to jedyna dana nam rzeczywistość, to patrzy się na to inaczej. Bez zdziwienia. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby stamtąd uciec.

Nienawidziłam tego miejsca, ale z drugiej strony, ponieważ byłam bardzo mała, nie pamiętałam domu rodzinnego ani matki, ojca - przeniesienie dziecka do takiej rzeczywistości sprawia, że wydaje mu się, iż rzeczywistość jest właśnie taka a nie inna, że Jordanów to miejsce normalne. Przez to tęskniłam bardzo, ale nie wiedziałam, za czym: czy za domem, czy za matką, czy za jakąś czułością, intymnością, za tym, żeby być sama?

Wszystko tam było wielką tajemnicą i ciągłym zastraszaniem. Mam wrażenie, że cały czas byłam w kościele albo na lekcji religii. Zdarzało się, że w czasie świąt chodziłyśmy do kościoła po pięć razy dziennie. Wszystko to było jednak bardzo mechaniczne, zero wiary. Zakonnice ciągle pytały nas: kim zostaniesz? Na to, broń Boże, nie można było odpowiedzieć inaczej jak: zakonnica. Często nas też pytały, czy miałyśmy już objawienie. Też trzeba było odpowiadać, że miałyśmy. Wiedziałyśmy, czego się od nas oczekuje. Bóg objawiał nam się bez przerwy.

Siostry były szczególnie czujne, jeśli chodziło o sprawy seksu - kontrolowały, czy dziewczynki się nie onanizują. Gdy się leżało, trzeba było mieć ręce skrzyżowane jak do modlitwy. Zakonnice w nocy sprawdzały, co dziewczynki robią: gwałtowne zrzucanie kołdry, latarka w oczy

Były nas różańcami zrobionymi ze specjalnie poskręcanych grubych białych sznurów, którymi się opasywały. Ustawicznie nas upokarzały, a kary cielesne były potworne, na przykład mazanie dziecka kałem za to, że zrobiło w majtki. Pamiętam, jak na moich oczach zakonnica nacierała dziewczynkę, która zrobiła w majtki, tą kupą za pomocą ryżowej

szczotki do szorowania podłóg. Stała ta małeńka dziewczynka bardzo wystraszona, a ona ją od stóp do głów smarowała.

Dręczyły nas psychicznie. Dostałam w szkole zadanie arytmetyczne: ile to jest cztery razy cztery. Tabliczkę mnożenia znałam świetnie i w ogóle bardzo dobrze się uczyłam. Nie mogłam zrozumieć, dlaczego zakonnica mówiła mi, że to wcale nie jest szesnaście. Byłam z tego powodu potwornie zestresowana, próbowałam liczyć na wszystkie sposoby i zawsze wychodziło mi szesnaście. Ona zaś uporczywie powtarzała, że cztery razy cztery nie równa się szesnaście.

Miałyśmy wielką, stałą potrzebę zwracania na siebie uwagi, przez co byłyśmy w ciągłym napięciu i zawsze niespokojne. Taka cecha zostaje na całe życie. Człowiekowi się wydaje, że jest niewidziany, niedostrzegany, że nikt go nie kocha, nikt nie chce. Ogromna potrzeba czułości zostaje potem na całe życie. Człowiek nie jest w stanie skoncentrować się na jednej osobie, ciągle wydaje mu się, że to właśnie nie ta, ale inna.

Obowiązywał nas ścisły zakaz przekraczania klauzury. Klauzura to było takie miejsce, gdzie mieszkały zakonnice i gdzie drzwi były cały czas zamknięte. Gdy miało się jakąś sprawę do zakonnicy, trzeba było pukać albo wołać po imieniu. Wszystko było naprężone, żadnej radości czy śmiechu. One naprężone w tych kornetach, my naprężone, omotane religią, strachem, wciąż unoszącą się nad nami wizją grzechu. Żadnej intymności. Zachowywałam się przez to jak automat. Do dziś nienawidzę wszelkich grup, wycieczek. Lubię być sama, nie znoszę dużej liczby osób, tak zwanego towarzystwa.

Mam wrażenie, że podczas mojego pobytu w Jordanowie cały czas tęskniłam. Ta tęsknota została do dzisiaj. Kiedy jestem z kimś długo i przestaję tęsknić, to robi się taka flat line - martwa linia. Dziecko, jeżeli permanentnie tęskni, to tęsknota tak głęboko wchodzi w jego mentalność i mózg, że bez niej nie jest w stanie nic się zadziać. Najpierw musisz tęsknić, żeby potem móc z kimś być. To tak, jakbyś cały czas był zanurzony w roztworze tęsknoty i nie wiesz już, czy jest ten roztwór, czy go nie ma. Pobyt w domu dziecka spowodował, że jestem osobą tęskniącą. To jest przecież piękne... Jak gdyby zło urodziło coś pięknego. Ale z drugiej strony nie jestem w stanie wytrzymać z drugim człowiekiem długo, nie mogę z nikim być bez przerwy. Ciągłe stwarzam sytuacje, w których albo ja tęsknię, albo ktoś inny tęskni. Takie „tęskniące sytuacje”, czyli przybliżanie się i oddalanie. Nie potrafię być z drugim człowiekiem, na przykład z mężczyzną

W pewnym momencie państwo odebrało Caritas, ten dom dziecka, Kościołowi i stanęła przede mną perspektywa państwowego domu dziecka. Mama zapytała mnie, czy chcę tam iść. Oczywiście, że nie chciałam. Miałam już na tyle rozumu, by zdawać sobie sprawę, że tam może być jeszcze gorzej. Wróciłam do domu. Kiedy miałam siedemnaście lat, dowiedziałam się, że te Prezentki prowadzą w Krakowie przy ulicy Świętego Jana szkołę. Miałam ochotę jakoś się na nich zemścić. Ale szybko mi to minęło. One też miały przecież skrzywione życiorysy. Też musiały być potwornie nieszczęśliwe i to swoje nieszczęście przelewały na dzieci, dlatego były takie okrutne.

Po latach jedna z zakonnicy próbowała skontaktować się ze mną. Zadzwoiła do mojego sąsiada w Krakowie i chciała się ze mną spotkać. Nie chciałam. To była ta siostra, która dała mi sweterek.



Ojciec Marcin Ostrowski



Brat Andrzej



Siostra Anna



Brat Jerzy



Brat Tadeusz



ROZDZIAŁ TRZECI:

Milu, to się już jutro skończy

„Co to za dom, fundamenty w nim drżą brat bratu gardło podrzyna”

Kreon

Ojciec zmarł niedługo po moim powrocie do domu. Miałam dziewięć lat. Znalazłam go rano. Nie budził się, myślałam, że tak mocno śpi. Podeszłam do kranu, nalałam garnek zimnej wody i wylałam mu na twarz. Już nie żył, miał w nocy zawał. Z grymasu na jego twarzy widać było, że bardzo cierpiał.

Matka została sama z nami wszystkimi. Jako mała dziewczynka nie potrafiłam się odnaleźć i postanowiłam odebrać sobie życie. Wzięłam wszystkie tabletki, jakie znalazłam, i zamknęłam się w piwnicy. Pamiętam, że była zima. Nie miałam czyni popić tych tabletek, wyszłam więc na podwórko i połykając tabletki, jadłam kule śniegowe. Potem leżałam w piwnicy i wymiotowałam. Znalazł mnie brat, wezwał pogotowie. Potem przez całe dzieciństwo chciałam umrzeć śmiercią naturalną, chciałam, żeby mnie śmierć dopadła, najlepiej we śnie.

Moja mama urodziła się w 1908 roku. Oboje rodzice pochodzili z południowo-wschodnich kresów Polski. Ojciec z Buczacza, mama ze Stanisławowa. Na przełomie wieków były to spokojne, piękne miasteczka, wyobrażam sobie, że musiały atmosferą przypominać magiczny Drohobycz, tak cudownie opisany w „Sklepach cynamonowych” przez

Brunona Schulza. Kresy Wschodnie, Lwów i jego okolice w opowieściach moich rodziców

były mityczną krainą, rajem utraconym.

Moja mama Emilia urodziła się w Stanisławowie jako nieślubne dziecko Karoliny Bilińskiej, kierowniczkę pensji żeńskiej w tymże galicyjskim miasteczku. Ze starych zdjęć mojej babki Karoliny widać, że jestem do niej bardzo podobna. Zatem moja mama była dzieckiem z nieprawego łoża. Jej prawdziwym ojcem był bardzo znany lwowski adwokat - pan Monastyrski. Nieślubne dziecko w owych czasach (był to przecież początek wieku) musiało zostać ukryte na wsi, więc moja mama kilka lat spędziła na wsi u obcych ludzi.

W tym czasie babka Karolina wyszła za mąż za pana Siarkiewicza, który w Stanisławowie pełnił godną rolę komornika sądowego. Siarkiewicz, dowiedziawszy się o istnieniu małej Emilki, kazał ją sprowadzić do domu i uznał za własną córkę. Tak mama stała się Emilią Siarkiewicz. Uzyskała solidne wykształcenie, skończyła seminarium nauczycielskie we Lwowie i przed wojną pracowała jako nauczycielka. Adwokat Monastyrski wyjechał do Stanów Zjednoczonych.

Mój ojciec, którego bardzo krótko znałam, Marcin Ostrowski, urodził się w 1897 roku w Buczaczu. Pochodził z rodziny posiadaczy ziemskich i właścicieli rzeźni. Miał jedenaścioro rodzeństwa. Przed wojną był w Buczaczu komendantem policji. 17 września 1939 roku, kiedy na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow Sowieci wkroczyli na nasze ziemie wschodnie, zaczęły się aresztowania wszystkich „klasowo podejrzanych”. W Buczaczu zgromadzono inteligencję w miejscowym forcie. Fort otoczyli enkawudziści i podpalili. Jeżeli ktoś próbował uciekać, strzelano do niego. Ojciec, ratując się, wpadł pod stertę trupów. W ciągu jednego dnia całkowicie osiwił. W tym czasie Sowieci wywieźli na Sybir jego pierwszą żonę i trzy córki. Ojciec uciekł do Krakowa. Tam poznał moją mamę. Pracowali razem w starostwie, ona była jego sekretarką. Zakochali się. Pierwsza żona ojca nie wróciła z Sybiru, zmarła tam z głodu i wycieńczenia. Natomiast po wojnie, w latach pięćdziesiątych, wróciły jego córki z pierwszego małżeństwa, moje siostry przyrodnie. Ja i moje rodzeństwo nigdy właściwie nie utrzymywaliśmy z nimi kontaktów. Jedynie ojciec je odwiedzał. Jedna mieszkała w Bielawie, dwie w Łodzi.

Kiedy się urodziłam, ojciec miał pięćdziesiąt cztery lata, mama czterdzieści trzy. Byłam ich piątym dzieckiem, miałam trzech braci i siostrę. Mieszkaliśmy wtedy w Krakowie przy ulicy Grottera 2, w pralni, w jednym pokoiku z kuchnią, w suterenie. Ojciec uważał,

że komunizm to sytuacja przejściowa. Nie zabiegał o poprawę naszych warunków życia. Był przekonany, że to się zmieni wraz z rychłym upadkiem komunizmu. Jako były urzędnik policji przedwojennej nie mógł pracować w swoim zawodzie. Takich ludzi starano się wtedy niszczyć i ojciec był przetrzymywany przez UB. Cały czas wydawało mu się, że niebawem będzie mógł z nami wszystkimi wrócić do swojej rodzinnej posiadłości w Buczaczu. Stale powtarzał mamie: „Milu, to się już jutro skończy”. A jeżeli to się miało jutro skończyć, to po co mieli cokolwiek budować? Przecież ta budowa byłaby wbrew temu, czego oni oczekiwali. No, ale niestety nie doczekali się upadku komunizmu i umarli.

Ojciec wykonywał jakąś bezsensowną urzędniczą pracę za symboliczne socjalistyczne wynagrodzenie. Wychodził do pracy tak jak tysiące Polaków i nic nie robił. Nic nie zapowiadało upadku komunizmu. Czuł się stary i uważał, że jego życie już się skończyło. Wstydział się, że jest takim starym ojcem, i prosił mnie, abym w towarzystwie obcych mówiła do niego „dziadku”.

Mama nie mogła pracować jako nauczycielka - musiała zajmować się domem i pięciorgiem dzieci. Wszystkie obowiązki spadały na nią. Dorabiała - szyła lalki, robiła siatki. Była wycieńczona. I zachorowała na gruźlicę.

Mama była osobą milczącą. Była zawsze ogromnie zmęczona i - jak dzisiaj przypuszczamy - już wcześniej mogła być bardzo chora. Być może miała cukrzycę? Była wiecznie senna, ale czy tylko z przepracowania? W domu nie miała absolutnie żadnych udogodnień, które dzisiaj są udziałem nawet najbiedniejszych rodzin. U nas nie było nawet toalety z prawdziwego zdarzenia. Tylko zimna woda. Nie było światła, tylko lampa naftowa. Dużo później mój brat, który chodził do szkoły zawodowej elektrycznej, zainstalował nam sam światło. Nie było kuchni, tylko dwupalnikowa kuchenka na gaz. Nie było lodówki, odkurzacza, pralki. Nie było. Matka prała z tych pięciorga dzieci ręcznie.

Bardzo dbała o czystość. Od najmłodszych lat uczyła mnie higieny. Sama bardzo długo mnie myła. To był ten system mycia od góry do dołu, w miednicy. Pamiętam zioła, których używała. Jak przestrzegala higieny intymnej. Była nieprawdopodobnie czysta, z ogromnym gustem. Nauczyła mnie, że jeżeli mnie nie stać na coś dobrej jakości, to lepiej nie kupować nic. Kupuje się rzeczy, które mają jakość i długo służą.

Mama bardzo mnie kochała i chyba wyróżniała. Uważała, że jestem mądra. Dbała o moją urodę. Dzięki niej nie straciłam wzroku, gdy zachorowałam na gruźlicę oczu.

Wszystko zaczęło się od tego, że miałam potworne bóle głowy i oczy zachodziły mi czerwienią. W domu mówiło się, że to migrena albo że to z czytania się bierze. Ale matka się martwiła i szybko zabrała mnie do lekarza. Nieprawdopodobnie o mnie pod tym względem dbała.

Wylądowałam w szpitalu w Witkowicach pod Krakowem. Miał trzy oddziały - jaglica, gruźlica i zez. Strasznie tam było. Oddziały oddzielone od siebie bardzo wysokimi siatkami. Potworna wszawica. I poczucie totalnego opuszczenia. Spędziłam tam pół roku.

Kiedy matka była już bardzo schorowana, wylądowałam z kolei u mojego wujka w Jabłonowie Pomorskim i tu zaczęła się kolejna trauma. Była to zupełnie niesprawdzona, nieznana przez matkę rodzina. Wysłała mnie tam, myśląc, że wuj mi pomoże. Ale trafiłam niestety do rodziny wariatów. Ciężko chora, psychopatyczna, zdewiowana seksualnie żona wuja przez rok tak mnie katowała, że spowodowało to prawie całkowitą lukę w mojej pamięci. Przypominam sobie jedynie, że musiałam bardzo wcześnie rano wstawać i pracować - kontrolowałam prowadzoną przez nią stację meteorologiczną i pilnowałam jej męża. Miała bowiem obsesję, że wujek ją zdradza. Żyłam w takiej paranoi i stresie, że nie pamiętam nawet, czy chodziłam wtedy do szkoły.

Potem jeszcze przez parę lat jeździłam na wakacje do Przyłęku, na Śląsk. Pracowałam tam bardzo ciężko, bo żona wuja uważała, że niezależnie od tego, czy się jest dzieckiem, czy dorosłym, życie uzasadnia tylko praca. Pracowałam więc od rana do wieczora. To były moje wakacje. Z ulgą wracałam do domu.

Mama bardzo dużo czytała. Zabierała mnie do teatru, do operetki, opery. Chodziłam z nią na podwieczorki przy mikrofonie. Na to wszystko pożyczala pieniądze od sąsiadki, która była praczką. I wszystkie sąsiadki matkę komentowały: „To jest ta, która nie ma pieniędzy, a dla Olusi, dla Ciuci pożyczczy, żeby miała na kino!”.

Bardzo dobrze i zdrowo gotowała. W domu zawsze był sok z czarnego bzu. Na kuchni zawsze stał barszcz. Smaki, którymi przesiąkłam w dzieciństwie, kocham do dziś. Pierogi, gołąbki, kotlety mielone, galareta, o której mówiło się „hyszka” albo „studzienina”. To są nieznane już dzisiaj określenia, wschodnie, lwowskie.

Mama używała bardzo dużo określeń, które dzisiaj wyskakują jak diabeł z pudelka. Było w tym dużo z jidysz i ukraińskiego. No i oczywiście z lwowskiej gwary. Potrafiła mówić z lwowskim akcentem. A jak usłyszała taki zaśpiew gdzieś w kolejce, to od razu sama w ten ton wchodziła: „Pacani od Lwoowa, bo ja też od Lwoowa?”. Czuć było w tym tęsknotę. To ją chyba zabijało.

Sprawowała nad nami nadzwyczajną pieczę mimo ogromu obowiązków i biedy, jaka u nas panowała. Pięknie śpiewała i malowała. Myślę, że wyniosła to z domu rodzinnego w Stanisławowie. I była wykształcona. Skończyła przedwojenną pensję dla dziewcząt i seminarium nauczycielskie. Znała kilka języków obcych, malowała cudne akwarele. Ale przed wojną kształcono w kobiecie przede wszystkim cechy kobiece, przygotowując ją do roli matki i żony, a w mężczyźnie - męskie. Gdy zabrakło ojca, matka nie dawała sobie rady z chłopakami, była zbyt delikatna. Nie umiała ich wychować. Natomiast my, to znaczy ja i siostra Ania, miałyśmy wspaniały przykład do naśladowania. Siostra poszła w ślady mamy. Jest osobą wykształconą, świetnym prawnikiem. Ale szybko odeszła z domu, podczas studiów mieszkała u ciotki, która ją sobie wybrała do wychowania, potem zaś szybko wyszła za mąż i wyjechała do Olsztyna. W przeciwieństwie do naszych braci, którzy kurczowo trzymali się mamy i bardzo szybko się stoczyli. To była udręka i dla nich, i dla mamy. Jurek umarł w latach osiemdziesiątych. Choroba alkoholowa. Miał tylko trzydzieści pięć lat. Andrzej, mój najstarszy brat, też był uzależniony od alkoholu, zdążył

jednak stworzyć rodzinę. Umarł na zawał serca, tak jak ojciec. Pił całe życie. Tak go pamiętam.

Moi bracia przepili swój wielki potencjał. Andrzej był nieprawdopodobnie piękny, oryginalny, piekielnie inteligentny. Grał w szachy. Tadeusz, mój żyjący brat, był mistrzem brydża sportowego. W moim domu ciągle grało się w szachy. Na tych trzydziestu metrach kwadratowych zbierała się cała rodzina i grali. To był dla mnie koszmar i udręka, bo jak już wspominałam, nie znoszę grup, tłumu, wspólnych przestrzeni.

Po śmierci mamy odczułam ogromny ból. Chyba nigdy nie widziałam jej szczęśliwej. Nic jej nie dałam. Cały czas od niej żądałam. Byłam pod tym względem bezwzględna. Z jednej strony pomagałam, oddawałam jej wszystkie pieniądze, ale z drugiej strony uważałam, że to, co nas spotyka, ta straszna i nieludzka, uwłaczająca godności bieda, to jest jej wina. Jej, nie ojca. Że ona nie daje sobie rady. Z tym

piekłem, z tymi synami, których nie potrafiła ogarnąć, wychować. A ona przecież wciąż walczyła o przetrwanie.

Dziś wiem, jak wiele mama mnie nauczyła. Oglądu świata, poczucia piękna. To, co jest dziś dla mnie piękne, to jest to, co było piękne dla niej. Dużo czytała. U niej zawsze paliła się lampka przy łóżku. Czytała po tak nieprawdopodobnie męczącym dniu! I kochała przyrodę - wszędzie chodziła na piechotę, zawsze miała swoje tropy.

Bardzo długo za nią tęskniłam. Nieprawdopodobnie, do płaczu. Teraz już nie. Jest już tylko w słowach, wspomnieniach. Często rozmawiam o niej z siostrą, ale ona ma zupełnie inny obraz matki niż ja, więc nasze rozmowy do niczego nie prowadzą. Najczęściej mnie irytują. Jesteśmy jednak różne.

Czy jestem podobna do mojej mamy? Jestem chyba jednak bardziej wszechstronna niż ona. Jestem typem sportowca: pływam, jeździłam na nartach. Zawsze ciągnęłam moich synów w kierunku sportu, ćwiczeń wschodnich, tu byłam trochę ojcem dla nich. Zawód matki: ojciec, jak śpiewam na swojej nowej płycie „Ping-pong”. Inaczej wychowywałam swoich chłopców niż moja mama, chociaż też przez dłuższy czas sama. I dziś jestem z nich bardzo dumna. Właściwie nie sprawiali żadnych kłopotów. A moi bracia? Oni z braku odpowiedniej kontroli rodziców zaczęli pić jeszcze w młodości.

Nie potrafili sobie poradzić ze sobą, dręczyli mnie, matkę, siebie samych. Ciągłe krzyki, hałasy, awantury. Nienawidziłam tego i chętnie od tego uciekałam. Zawsze wydawało mi się, że poza domem, gdzieś tam, będzie lepiej. Lepiej to znaczyło bez wspólnego łóżka, tych siedmiu osób na trzydziestu metrach kwadratowych. Śniło mi się często, że albo mam własny pokój, albo jakimś parawanikiem się odgradzam, albo szafa, do której się chowałam. Odczuwałam brak intymności, brak swojego własnego kąta. To pozostaje na całe życie. To się śni.

Zapisałam się na basen i trenowałam pływanie, gimnastykę. Pobierałam lekcje gry na mandolinie. Grałam mamie dumki ukraińskie, wzruszając ją do łez. Do domu mnie nie ciągnęło. Bo do czego? Do wiecznie pijanych braci, którym całe życie życzyłam śmierci? Andrzejowi, żeby wpadł pod tramwaj. Cały czas marzyłam, żeby nie mieć rodzeństwa.

Jeżeli ktoś dzisiaj mnie pyta, czy nie chciałabym mieć jeszcze raz nastu lat, to mówię nigdy w życiu!. Pierwsze, co przychodzi mi do głowy, kiedy myślę o mojej młodości, to samotność. Byłam sama.

Wydawało mi się, że jestem jedna, czarna, sama stwarzająca sobie świat. Moje dzieciństwo to dom dziecka, szpital, internat, azyl u jakiejś ciotki albo ucieczka z domu. Jeżeli już byłam w domu, to starałam się go upiększyć, codziennie na nowo go budowałam. To zostało mi do dzisiaj - każdy chaos i nieporządek w sekundę przekształcam w miłe do życia miejsce.



Babka Karolina Siarkiewicz, z domu Bilińska



Mama



1996. Sesja do teledysku „Po to jesteś na świecie”
Mariusza Grzegorzka, płyta „Łóżko”

ROZDZIAŁ CZWARTY:

Mućka, Pipi, Ramona i Pimpuś

J

ako dziewczynka porównywałam swoje życie z życiem koleżanek mieszkających w tym samym pięknym domu, w którym i ja mieszkałam. Schodzenie do sutereny nie jest najprzyjemniejszą rzeczą

na świecie. Jak ktoś chciał przyjść do nas, musiał przejść obok piwnic, bo tam właśnie było nasze „mieszkancko”.

Ale z drugiej strony mieszkałam w ładnej dzielnicy, pełnej willi i stylowych kamienic, wśród cudownych starych, cienistych ogrodów. Do dziś mam wrażenie, że tam ciągle świeciło słońce. Ogrody były otoczone wiekowymi kamiennymi murami i przez szpary podglądaliśmy, co się tam działo. Mieszkaliśmy na granicy między dzielnicą willową a dzielnicą robotniczą. Dzieliła je rzeczka Młynówka. Przechodziłam przez nią do ogrodników po jarzyny albo z mamą na kozie mleko. To był stary piękny Kraków, nietknięty jeszcze socjalizmem i koszmarną socjalistyczną zabudową. W całym tym horrorze przyroda kompensowała mi suterene i braci. Przyroda, literatura, teatr i radio. Bardzo często słuchałam radia. O piętnastej w niedzielę nadawali słuchowisko dla dzieci. Wiadomo było, że jedynie śmierć mogła mnie powstrzymać od słuchania tej audycji. Kochałam „Rewię piosenek” Kydryńskiego.

W naszym domu zawsze były zwierzęta. Przede wszystkim koty. Była mistyczna Mućka, która przewidywała śmierć mojego ojca - dzień wcześniej dostała jakiegoś szału, była niespokojna, skakała jak obłąkana, a potem zniknęła. Matka była zakochana w tym kocie.

Mój brat Jerzy znosił do domu wszystkie kulawe, uszkodzone zwierzęta z ulicy. Od dziesiątek ptaszków, przez wiewiórkę, po foksteriera. Pojawił się tuż przed moim powrotem z domu dziecka. Jak przyjechałam, schował się pod łóżkiem i był bardzo niezadowolony. Bałam się go. Nie miałam jeszcze takiej intymnej relacji ze zwierzętami jak dziś.

Sz szczególnie pokochałam w dojrzałym już życiu trzy zwierzęta. Był syjamski kot Papi, który pewnego dnia zniknął i myślałam, że pięknie mi serce. To była straszna tragedia, długie poszukiwania, apele w radiu. Odeszło ode mnie w życiu bardzo wielu ludzi, ale zniknięcie Papiego nie da się z tym porównać. Bardzo to przeżyłam. Była między nami jakaś nieprawdopodobna więź. Potem Ramona i Pimpus, jej syn. Został na moich oczach zagryziony przez psa przyjaciół. Dramat. Wiem, że głupio tak mówić, ale nie chciało mi się wtedy żyć.

Zwierzęta mnie fascynują. Nie można się wyśmiewać z więzi, jaka się nawiązuje pomiędzy człowiekiem a zwierzęciem, bo ona może być dużo mocniejsza niż między dwojgiem ludzi.



Piękne hippiski byty natchnieniem dla wielu ówczesnych fotografów

ROZDZIAŁ PIĄTY:

Pies, którego kochałam

„A planety szaleją

I śmieją, się śmieją, się śmieją.: Szał niebieskich ciał

Liceum zaczęłam w Krakowie. Mieszkałam wtedy krótko przy Grottgera. Potem, ze względu na nieznośną sytuację rodzinną, przeniosłam się do internatu na Kazimierzu. Jak się okazało,

było tam jeszcze gorzej niż w domu. Wróciłam na Grottgera. Ale zaczęły się czasy

hippisowskie. W dziesiątej i jedenastej klasie dużo jeździłam po Polsce i mieszkalam u koleżanek.

W Polsce ruch hippisowski powstał właśnie w Krakowie, a ja byłam jedną z pierwszych hippisek. Słuchałam wtedy bardzo dużo muzyki rockowej. Miałam, pierwszy raz w życiu, naprawdę bliską przyjaciółkę, miała na imię Galia. Hippisów poznawałyśmy na Plantach. Kursowałyśmy między Krakowem a Zakopanem. W Zakopanem było wówczas duże środowisko hippisowskie skupione wokół braci Muskatów. Słynny dom Muskatów. Pamiętam, że po raz pierwszy braliśmy tam na jakiejś łączce narkotyki. Była to dostępna wtedy w każdej aptece bez recepty amfetamina o nazwie fermetrazyna, zwana w slangu „fermą”. Paliliśmy też haszysz, który przywożono z Europy Zachodniej. I włóczyłyśmy się.

Ubieraliśmy się jak na tamte czasy dość oryginalnie. Z krótkiej sukienki wskoczyłam w długą. Na ciuchach kupiłam piękną amerykańską

spódnicę i dużo koralików. Mówiliśmy na to „tandeta” - to był po prostu raj. Tam było wszystko. Okulary kocie, których używałam też na początku lat osiemdziesiątych już jako Kora z Maanamu, też były z ciuchów. W sklepach nie było niczego, co by nas interesowało. Nie używałam kremów - tylko woda i mydło. Wszystko naturalne, długie włosy, zero makijażu.

Muzyki słuchaliśmy na tak zwanych chatach. Wspólne słuchanie, wspólny haj. Nie było jeszcze magnetofonów, tylko taśmy szpulowe i czarne, oryginalne płyty, ale na te stać było niewielu. Trzeba je było sprowadzać z Zachodu. Słuchaliśmy wtedy Doorsów, Boba Dylana, Grateful Dead, Jefferson Airplane, Hendriksa, oczywiście Beatlesów, Rolling Stonesów, Pink Floydów, Moody Blues, Johna Mayalla, Erica Claptona, Velvet Underground. Głównie muzyki zaangażowanej.

W zasadzie nie wracałam do domu. Mieszkalam „na chatach”: Dużo podróżowałam. Jeździłam na zloty - nad morze, do Poznania, Wrocławia, Warszawy. Aż pewnego dnia, w deszczu, zakochałam się. Tak bardzo, że straciłam siebie. Nie liczyło się nic poza nim. Byłam w niego zapatrzona i obchodziło mnie jedynie to, żeby być z nim. Dużo tańczyliśmy, „kleiliśmy się”, czyli wachaliśmy Tri, środek wywabiający plamy, największe świętostwo na świecie. Pojechaliśmy razem na pierwszy wielki zlot hippisów polskich. Mielno, 1968 rok. To tam nadaliśmy sobie nowe imiona. Zostałam Korą. Kto to wymyślił, nie pamiętam. On nadał sobie imię Pies. Chyba od Hip-Pies?

Wszyscy mieliśmy drugie imiona. Czuliśmy się nowymi ludźmi z nowymi ideami, postawami, światopoglądem, więc przybieraliśmy nowe imiona.

Był „Prorok”, sztandarowa postać ruchu, wokół którego zawsze skupiała się grupa wyznawców. W tamtych czasach go nie znałam. Tak naprawdę nie wiem, kim był, choć dzisiaj się z nim przyjaźnię. Myślę, że te kilkadziesiąt lat, które upłynęły, dobrze mu zrobiły. Nie ma już w sobie tej potwornej demagogii i przeświadczenia, że jest zbawcą świata. Naprawdę nazywa się Józef Pyrz, niekoronowany przywódca polskich hippisów. Od lat sześćdziesiątych dręczony przez SB. Dziś mieszka we Francji, ma żonę, dużo dzieci, jest rzeźbiarzem sakralnym. Przyjaźnił się z François Mitterrandem.

W Warszawie był „Psycholog”, bo studiował psychologię. Miał duże mieszkanie na Puławskiej, często tam jeździliśmy. Był bardzo zaangażowanym hippisem, brał udział w wydarzeniach marcowych w 1968 roku i wynajął jedną z pierwszych komun hippisowskich na ulicy Cyga-

neczki na Sadybie, gdzie później mieszkali słynni „Twórcy” (Jac Jakubowski, Pic, Andrzej Jakubowicz). Najważniejsze postaci tamtych czasów stały się później bohaterami książki Kamila „Hipisi w PRL-u”. To było inteligenckie środowisko studenckie. Spotykaliśmy się u nich, braliśmy narkotyki, słuchaliśmy muzyki i prowadziliśmy niekończące się rozmowy o muzyce, polityce, socjologii, psychologii, literaturze, kinie, teatrze. W ich mieszkaniach - oprócz niezbędnej przestrzeni - zawsze był magnetofon albo adapter. To było absolutnie niezbędne urządzenie do wspólnego przebywania.

To był intensywny czas. Myśli, idee kłębiły się wokół nas. Wielka fuzja teatru, literatury, psychologii. I moja młodość. Niby PRL, a jest co wspominać. To był mój świat. Mój raj i moja

wolność. Dzisiaj nie ma już tego wymiaru, takiej intensywności, bezinteresowności. Wszystko jest skomercjalizowane, rozproszone, wyspecjalizowane.

Nie pamiętam, jak poznałam Psa, ale przypuszczam, że tak jak poznawało się wtedy wszystkich, czyli albo w Krzysztoforach, albo na jakiejś chacie w Krakowie. Pochodził z inteligentnego domu, miał piękne duże mieszkanie. Pies był bardzo przystojny, wysoki. Typ Hidalgo - inteligentny, interesujący się poezją. Bardzo dobrze się ubierał. Przebywanie w jego towarzystwie było nobilitacją.

Ale byliśmy ze sobą krótko. Pies mnie dręczył, nasz związek miał psychodelicznie sadomasochistyczny charakter. Żeby to skończyć, zdradziłam go na jego oczach.

Nie powiem, jak się naprawdę nazywa, jest osobą publiczną. Od czasów naszej wspólnej młodości zmienił się nie do wyobrażenia. Wtedy był arystokratą wśród hippisów, kultową postacią w Krakowie. Później zaangażował się w politykę, jest zwolennikiem PiS-u. Widziałam go na ich billboardzie. Przyśnił mi się niedawno, taki młody i piękny jak dawniej. Mówię mu: „Boże, popatrz, co oni ci zrobili?! Czy ty widziałeś te billboardy?!”.

A to, co było? Wtedy inaczej przeżywałam. Byłam młoda, nakręcona narkotykami. Sama sobie wykombinowałam to ogromne fizyczne i psychiczne uzależnienie od niego. Ale nie chcę o tym mówić więcej. To są intymne sprawy. Spotkałam Psa niedawno na ulicy. Był bardzo miły. Kamil w „Hipisach w PRL-u” też miał z nim ciekawą rozmowę o tamtych czasach.



ROZDZIAŁ SZÓSTY:

Uta i Minotaur, moje anioły

Czasy hippisowskie to nie tylko bunt pokoleniowy - młodych przeciwko temu, co

reprezentują starzy. Wokół nas działo się dużo interesujących rzeczy, które przeszły do historii polskiej

kultury. To był boom w sferze artystycznej. W Krakowie były przede wszystkim Krzysztofora, gdzie odbywał się happening za happeningiem, wystawy, performance. Przesiadywałam tam bez przerwy. Gdy na jakiś czas zrezygnowałam ze szkoły, wychodziłam z Krzysztoforów ostatnia. Tam odbywały się także przedstawienia Kantora. Tam w 1967 roku widziałam jego „Kurkę wodną” - spektakl odbywał się bez sceny, widzowie siedzieli pod ceglanymi murami piwnicy. W Krzysztoforach z inicjatywy Kantora odbywały się happeningi, w których oprócz artystów uczestniczyli także hippisi. Był tak zafascynowany ruchem hippisowskim, że wprzegi go w swoją działalność artystyczną. Wykorzystywał nas jako aktorów. Pamiętam, że w jednym z pism artystycznych ukazała się cała seria zdjęć z nami w akcjach Kantora. Zdjęcia robił Jacek Szmuc. Na nasze zloty też przyjeżdżało wielu fotografów, dla których stanowiliśmy ważne zjawisko artystyczne. A poza tym spotkać mogli mnóstwo pięknych dziewczyn, na owe czasy cudownie poubieranych. Fascynowały wielu, także Kantora.

Była też Grupa Krakowska z Jerzym Beresiem, wspaniałym rzeźbiarzem, z którym bardzo się zaprzyjaźniłam. Myślę, że wyczuł, że nie jestem całkiem głupia, i chyba mu się podobałam, co skonstatowałam trochę później. Nie było między nami seksu. Fascynował mnie jako artysta. Podobało mi się to, co mówił, co robił, jego wrażliwość. Był moim starszym przyjacielem, poświęcał mi dużo czasu. Wtedy nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak dużo.

Była Piwnica pod Baranami z kabaretem, w którym wtedy występowali wszyscy ci, których już dzisiaj nie ma, dlatego że umarli albo zajęli się czymś innym. Zaprzyjaźniłam się z Wiesiem Dymnym. Do tego stopnia, że zamieszkałam u niego. Zorganizował imprezę na moje osiemnaste urodziny. Bardzo go podziwiałam, podobnie jak całą Piwnicę. Uwielbiałam tam przebywać. To, co robili, było mądre, a jednocześnie zabawne. Często bywałam też u Anny Jekielek. Marka Jackowskiego spotykałam na przyjęciach, koncertach w Piwnicy.

Poznałam też krakowskiego enfant terrible Piotra Marka, malarza, poetę, muzyka, później współtworzącego takie formacje, jak Düpa i Pudelsi. U niego zawsze była chata.

Były cudowne Juwenalia. Był wspaniały Krzysztof Niemczyk, performer, wielki pisarz, przyjaciel Anny Ptaszkowskiej, który z przypiętymi skrzydłami chodził po mieście, a potem czarną nitką opasywał Kraków. Wybitna postać - jego performance były potem naśladowane przez epigonów na całym świecie. I to oni zdobyli sławę, a on popadł w zapomnienie. Był też jego uczeń Jacek Gulla, dzisiaj mieszkający w Nowym Jorku - malował, pisał manifesty artystyczne, poezje.

Będąc w tym środowisku, miałam okazję zetknąć się z ludźmi ze świata artystycznego Europy i Ameryki. Byliśmy na bieżąco z tym, co się tam działo. Panowała atmosfera buntu przeciwko establishmentowi. Czytaliśmy namiętnie Sartre'a, Camusa, dużo poezji, Witkiewicza, Gombrowicza. I non stop coś się działo. Było też dużo nowej muzyki - przedziwny jak na owe czasy zespół Zdrój Jana, Marek Jackowski ze swoim Vox Gentis. Spotykaliśmy się w klubach studenckich, nie przypominało to w niczym dzisiejszej dyskoteki. Tańczyliśmy przy Stonesach, Doorsach.

Z powodu amfetaminy nie mogłam spać. W tym czasie pobiłam rekord - nie spałam dwa tygodnie bez przerwy. Jeździliśmy autostopem od miasta do miasta, spotykaliśmy mnóstwo ludzi, dyskutowaliśmy - o literaturze, polityce, Polsce i świecie. Często rozmawialiśmy

też o sposobach dotarcia do drugiego człowieka. Miałam teorię, że do każdego można dotrzeć, trzeba tylko poświęcić mu nieco czasu. I wydawało mi się, że ludzie poświęcają go sobie za mało. Wierzyłam, że każdy ma w sobie jakiś zamek, do którego trzeba znaleźć klucz. Nie ma ludzi beznadziejnych. To nasze zbawianie świata polegało dla mnie na znalezieniu czasu na rozmowę z drugim człowiekiem. Nadal zresztą uważam, że rozmową można bardzo dużo zdziałać. Ale wtedy byłam tak potwornie rozedrgana, że wydawało mi się, że wszystko można zmienić na lepsze. A z drugiej strony widziałam, że niezależnie od tego, jak mocno to wszystko przeżywam, i tak nic się nie zmienia.

Doszłam do wniosku, że jedyne, co można zrobić, to się spalić. Chciałam wstrząsnąć światem. I przyjaciele bali się, że naprawdę to zrobię. Ale spotkałam pewnego człowieka, którego imienia już nie pamiętam - chyba Minotaur? Powiedział: „Kora, przecież ty nie możesz tego zrobić! Symbolicznie się spal”. Zrobiliśmy wspólnie wielką lalkę, kupiliśmy benzynę i spaliłam ją przed BWA w Krakowie. Paliła się bardzo jasnym, wysokim płomieniem. Zebrało się mnóstwo ludzi. Wybuchła straszna afera. Wszyscy myśleli, że to ja się spaliłam. Przez fermetrazynę ja też miałam takie uczucie. Byłam głęboko przekonana, że rzeczywiście się spaliłam. Przeżyłam to bardzo mocno.

„Ferma” i przeżycia związane z Psem sprawiły, że seks kompletnie mnie nie interesował. Byłam na aseksualnym tripie. Znajdowałam się w permanentnym stanie nadwrażliwości.

Byłam tak bezkompromisowa w odkrywaniu świata i jego zafałszowania, że postanowiłam go kontestować. Byłam bardzo dobrą uczennicą, ale powiedziałam sobie, że nie skończę szkoły. Boi po co? Zaprzyjaźniłam się wtedy, i przyjaźnię się nadal, z Utą Kalinowską, córką profesora Kalinowskiego, znanego mediewisty. Kiedy dowiedziała się, że rzucam szkołę, przekonała mnie, żebym szkołę skończyła. Uświadomiła mi, że ze zbuntowanym człowiekiem ludzie liczą się tylko wtedy, gdy coś sobą reprezentuje, posiada argumenty i potrafi je jasno wyartykułować. Ma wykształcenie. Człowieka wykształconego chętniej się słucha. Tylko dzięki Ucie - mimo intensywnego trybu życia, amfetaminy, depresji - udało mi się ukończyć liceum. I zdałam na studia.



Kora



Kora i Joanna Braun



1996. Z planu wideoklipu „Mówią, że miłość mieszka w niebie”

ROZDZIAŁ SIÓDMY: Śmierć na wzór czeski

Haszysz i marihuanę paliliśmy okazjonalnie. Ludzie ze środowisk artystycznych, hippisi wyjeżdżający na Zachód przywozili te niedostępne u nas narkotyki ze sobą. Wtedy można było sobie przywieźć całe auto marihuany, jeśli kogoś było na to stać. Kontrola celna nie miała pojęcia, co to takiego.

W Polsce tych miękkich narkotyków nie było, ale też - jak w całym ruchu hippisowskim - obowiązywała idea odpadnięcia, odlotu. Eksperymentowało się na własną rękę, stąd się wzięło to Tri, fermetrazyna, później parkopan, a na samym końcu, kiedy ruch się zdegenerował, były morfina i kompot. Ja nigdy nie brałam morfiny czy heroiny ani żadnych tak zwanych twardych narkotyków.

W jedenastej klasie uzależniłam się od fermetrazyny. Maturem nawet na niej zdawałam. To środek silnie pobudzający, także metabolizm. Byłam bardzo szczupła, ważyłam czterdzieści sześć kilogramów, prawie nie spałam. Właściwie non stop byłam na niezwykłym haju. Potrafiliśmy przez tydzień nie wychodzić z domu, zahajowani słuchaliśmy muzyki, oglądaliśmy obrazy i pisaliśmy. Wyłamywaliśmy dawno otwarte drzwi. Przebywałam stale w sferze projektów: projekt usamodzielnienia się, kształcenia się, realizowania swoich marzeń, pragnień, pozyskania jakiegoś kąta. Pozostawałam właściwie w permanentnej

depresji. Gdy uzmysłowiłam sobie, że jestem już przy tysiąc sto pięćdziesiątym ósmym projekcie i nic z tego nie wychodzi, doszłam do wniosku, że dalej tak być nie może. Czułam się zagubiona i wiedziałam, że muszę odzyskać kontrolę nad swoim życiem.

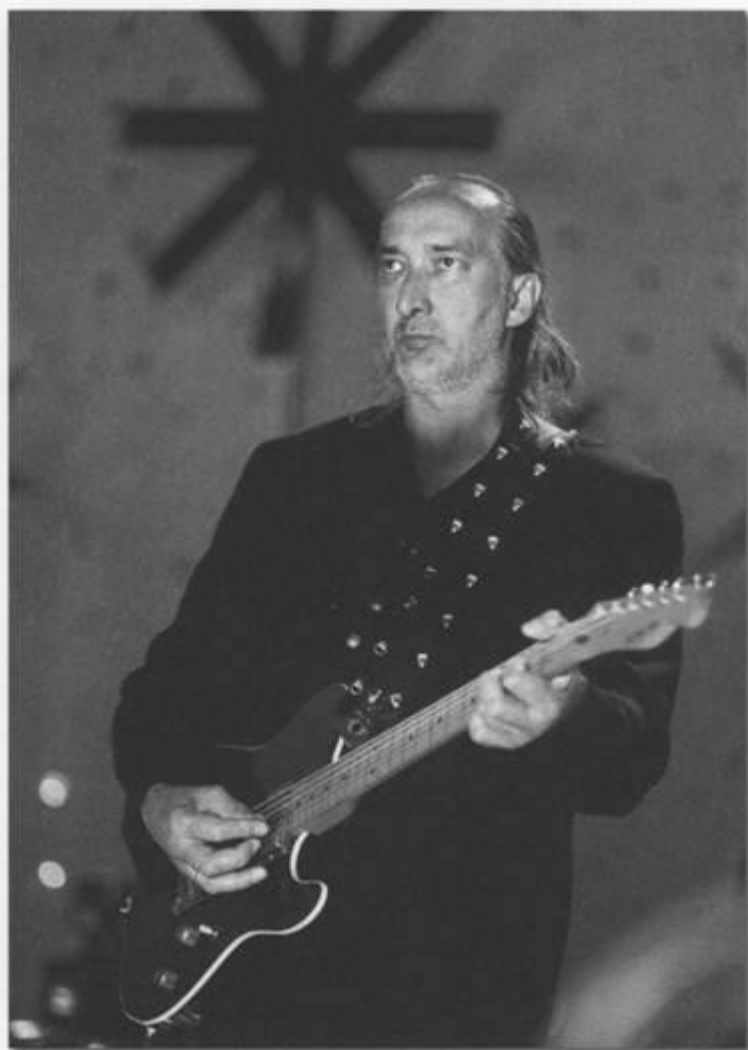
Definitywnie rzuciłam narkotyki. Stroniłam od ludzi, nie jeździłam na zloty, zamykałam się w domu, ale tam też sytuacja była nieszczerólna. Wszystko się skumulowało. Nie opuszczała mnie myśl samobójcza. Dzień po dniu zdobywała nade mną władzę. Aż przyszedł taki moment, że już

niczego się nie bałam. Nie chciałam żyć. Z permanentnej euforii, którą osiągałam wcześniej pod wpływem „fermy”, przeszłam do permanentnej depresji.

Popelniłam samobójstwo na wzór sceny z czeskiego filmu „Pociągi pod specjalnym nadzorem”; był to dla mnie film instruktażowy. Złamałam żyletki na pół i wsadziłam w szpary takiego solidnego taboretu. W łazience, po kolei prawym i lewym przegubem, uderzyłam w te żyletki. Pamiętam, że nie bolało i nie bałam się. Do momentu, w którym zaczęłam potwornie krwawić. Zamiast, jak sobie to wyobrażałam, zasnąć spokojnie, zaczęłam się dusić, a nie przewidziałam, jakie to nieprzyjemne uczucie. I zapragnęłam z powrotem żyć. Nie miałam siły krzyknąć, otworzyłam okno na parterze i przewiesiłam przez nie głowę. Zauważyła mnie sąsiadka i wezwała pogotowie.

Dla mamy, która wtedy jeszcze żyła, był to ogromny szok.

Nigdy później nie tknęłam już fermetrazyny, żadnych pobudzających dragów. To nie jest dla mnie haj. Natomiast haszysz to haj, który chciałabym przeżywać do dziś, ale ostatnio, od dziesięciu lat, tego też nie używam. Największym hajem jest samo życie.



1997. Koncert „Rockandrolle”, TVP 2

ROZDZIAŁ ÓSMY:

Marek

„Nie poganiaj mnie, bo tracę oddech Nie poganiaj mnie, bo gubię rytm...! Nie poganiaj mnie

Po maturze brałam jeszcze przez jakiś czas fermetrazynę. Mieszkałam na chacie, paliłam mnóstwo papierosów, nie wychodziłam z domu. Bałam się ludzi i światła dziennego. Byłam

w ciężkiej depresji. Któregoś dnia późnym wieczorem wyszłam z domu i spotkałam przyjaciela. Bardzo mnie namawiał na koncert świetnej grupy w Piwnicy pod Baranami. To był Vox Gentis. Nie chciałam, długo mnie namawiał. Ale ja bałam się wejść w tłum ludzi. Już wpychał mnie w drzwi, uciekłam, wróciłam. Świece, dwóch długowłosych gitarzystów, młodych mężczyzn, narkotyczna, wolna muzyka. Zrobiło mi się słabo. Kiedy koncert się skończył, usiadłam na wzmacniaczu. Machałam nogami, wyglądałam pewnie jak zagubiona dziewczynka. Wtedy poznałam Marka.

Podszedł do mnie - później twierdził, że zobaczył mnie już w trakcie koncertu. Właśnie przeprowadził się z Łodzi do Krakowa, studiował anglistykę i krążył. Rozmawialiśmy i rozeszliśmy się - każde w swoją stronę. Potem szukał mnie, znajdował, a ja znowu gdzieś uciekałam: do Łodzi, do innych miast. Aż pewnego razu zaprosił mnie do siebie do domu. Zapytałam wprost, czego ode mnie chce. Powiedział ściszym głosem: „Kocham cię”. Takie to na mnie zrobiło

wrażenie, tak się tego przestraszyłam, że znowu uciekłam. A on znowu zaczął mnie szukać. I znalazł. Wtedy właśnie przestałam brać fermetrazynę. Zamieszkaliśmy razem.

Czy zdawałam sobie sprawę z tego, że jestem ładną dziewczyną? Tak, miałam mnóstwo absztyfikantów. Ale żadnego nie chciałam, nikogo nie kochałam. Marek był zupełnie inny. Marek wydawał mi się mężczyzną, a nie chłopcem jak inni. I czułam, że naprawdę mnie kocha. Poczułam, że dobiłam do przystani. Marek był tą przystanią.

Wynajmowaliśmy maleńki pokój przy ulicy Lea, potem w willi na Brogach.

Marek najpierw grał w Vox Gentis, potem rozpoczął studia i przestał grać. Uta, a właściwie jej siostra, która była psycholożką, załatwiła mi pracę psychoterapeutki. Znałam to środowisko. Pasowało mi. Byłam wtedy mocno w swoją i cudzą jaźń zagłębiona, a poza tym chciałam zdawać na psychologię. Siostra Uty zaproponowała mi pracę psychoterapeutki w dziecięcej klinice psychiatrycznej - był wolny etat, nikt do tej pracy się nie palił. Byli tam lekarze interniści, psycholodzy, psychiatrzy i pielęgniarki, ale brakowało kogoś, kto byłby z dziećmi non stop, takiej niani. Nikt nie chciał pracować za grosze na dwie zmiany z bandą ciężko uszkodzonych dzieci od trzeciego do szesnastego roku życia. Ja chciałam.

To była bardzo ciężka praca. Czasem nawet groźna, bo zdarzały się dzieci agresywne. Ale głównie po prostu obciążająca psychicznie. Do moich obowiązków należało po prostu przebywanie z tymi dziećmi. Z tymi, które miały większy kontakt z rzeczywistością, bawiłam się, inne śliniły się, wpatrzone, bez kontaktu. Byłam bardzo młoda, neurotyczna. Przejmowałam się losem tych dzieci, nosiłam w sobie ich problemy. Był taki chłopiec, imienia nie pamiętam. Schizofrenik hebefrenik - wciągał mnie w swój świat. Łapał mnie za rękę i mówił: „Patrz, ryba”. Ja pytałam: „Gdzie?”, a on: „Tu, w powietrzu”. Brał mnie często na rozmowy typu „co to jest”. Nie mógł spać. Wchodził do gabinetu, gdzie siedziałam, w czasie gdy dzieci spały po obiedzie, i mówił, był bardzo pobudzony. W słoneczny dzień pytał: „Co to jest?” - wskazując na słońce. Odpowiadałam: „Słońce”. A on: „Nie, to nie jest słońce, to jest księżyc”. To ja: „Rzeczywiście, księżyc”, bo nie chciałam z nim wchodzić w tego typu rozmowę. Wtedy on: „To nie jest księżyc, to jest słońce”. „Masz rację”. „Nie, to jednak jest księżyc”. Taka rozmowa mogła trwać godzinami. Sama już nie wiedziałam, czy to słońce, czy księżyc.

W szpitalu pracowałam dwa lata. Żyliśmy z tego, co zarabiałam - tysiąc czterysta złotych, nawet na ówczesne czasy bardzo niewiele. Marek dostawał stypendium i udzielał trochę korepetycji z angielskiego. Ale pieniądze nie były ważne. Jadło się byle co, byle gdzie. I nieustająca impreza. Nasze życie towarzyskie koncentrowało się wokół Piwnicy pod Baranami, Piotra Skrzyneckiego, kawiarni Kolorowa.

Zaszłam w ciążę, odeszłam z pracy w szpitalu, postanowiliśmy się pobrać. Ślub odbył się w urzędzie stanu cywilnego przy placu Dominikańskim. Miałam dwadzieścia lat. Marek dwadzieścia pięć. Był dziesiąty grudnia, padał deszcz. Na ślub przyszła cała Piwnica pod Baranami: Piotr Skrzynecki, Ewa Demarczyk, Wiesiu Dymny, Jerzy Beres. Jacek Ostaszewski i Tomek Holuj byli naszymi świadkami. Wesele w Wierzynku, a potem w jakimś prywatnym domu, gdzie strułam się

haszyszem i powiadomiłam Marka, że umieram. A Marek mnie ratował i mówił: „Nie umierasz, nie martw się, oddychaj głęboko”. A ja odpowiadałam: „Umieram, żegnam się z tobą”.

W 1972 roku urodził się nasz syn Mateusz. Moja mama już wtedy nie żyła. Nie miała szansy być babcią. Mieszkaliśmy w jednym pokoiku wielkiego mieszkania po Wyspiańskim, naprzeciwko Teatru Bagatela. Niespodziewanie musieliśmy się wyprowadzić i raptem okazało się, że mając małe dziecko, w całym Krakowie nie możemy znaleźć mieszkania...

Marek był i jest osobą bardzo uduchowioną i religijną. Zajmował się buddyzmem, zen, zenistyczną literaturą, zen story, fascynował go Salinger. To była wtedy całkowita nowość. Był chyba tą osobą, która wprowadziła do środowiska zen. Jacek Ostaszewski wciągnął w tym czasie Marka do zespołu Marka Grechuty Anawa, a on zainteresował Jacka i Tomka Holuja filozofią buddyzmu zen. Kompletnie odlecieli. Stali się bardziej buddyjscy niż buddyści z Japonii. Zmienili strój, sposób odżywiania, zachowania, rzucili alkohol. Odmienili swoje życie osobiste i zawodowe. Tomek studiował wtedy w krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych. To była wówczas bardzo zbuntowana uczelnia. Miał tam swoją pracownię Kantor.

Pewnego dnia Tomek, Jacek i Marek postanowili założyć grupę muzyczną. Przez kilka dni w kaskadach śmiechu wymyślaliśmy dla nich nazwę. Stanęło na Osjan. Ich muzyka szybko zaczęła zyskiwać publiczność identyfikującą się nie tylko z nośnikiem muzycznym, ale też duchowym, filozoficznym i religijnym.

W okresie istnienia Osjana od czasu do czasu także jeździłam z nimi w trasy, grałam na fujarce i podawałam z tyłu dźwięk. Zabierałam ze sobą naszego Mateusza, ale i tak było to trochę przedłużenie hippisowskich czasów. Jeździliśmy do Świnoujścia, na Famę. Spędziliśmy wspólnie bardzo dużo czasu, tworzyliśmy rodzaj komuny. Nie mieliśmy mieszkania, więc wprowadziliśmy się do Ostaszewskich. Przez jakiś czas panowała tam bardzo ciepła, rodzinna atmosfera, ale potem wszystko zaczęło się psuć. Jacek i Tomek szli w buddyzmie coraz dalej, a Marek traktował buddyzm jako drogę do rozszerzenia swojej świadomości, ale pozostawał jedną nogą w kręgu religii chrześcijańskiej, z którego w zasadzie nigdy nie wyszedł.

Jeździliśmy po Polsce ze słynnym trębaczem jazzowym Donem Cherrym, ojczymem Neneh. To trasa Osjana, którą najlepiej pamiętam. Cudowna. Don Cherry już nie żyje, ale na zawsze zostanie w mojej pamięci. Jak ja będę umierała, wciąż będę o nim pamiętała. Może mi się objawi? Bo to była niezwykle szlachetna, oświecona osoba. Zaprzyjaźniliśmy się, bardzo dużo mnie nauczył. Marka także.

Don Cherry był zaawansowany w buddyzmie, uczył muzyków całkowitej prostoty, afirmował jeden dźwięk, odrzucał skomplikowane technicznie przebiegi po instrumencie. 'Pak naprawdę to jedynie Marek skorzystał z jego nauki i urzeczywistnił tę prostotę w graniu. Jacek niestety w dalszym ciągu latał po tej swojej fujarce tam i na powrót. Drogi Marka z jednej strony, a Jacka i Tomka z drugiej coraz bardziej się rozchodziły. W końcu nie byli w stanie już razem grać.

Wyjechaliśmy do Warszawy.



1967. Kora i Marek na koncercie w Piwnicy pod Baranami



1972. Z Markiem. Czasy hippisowskie



1982, Rabka. Od lewej: Marek, Mateusz, Szymon



Maanam Elektryczny Prysznic. Koncert, Jazz Klub „Bielany”. Ok. 1978



Maanam Elektryczny Prysznic, 1977-1979. Zdjęcie koncertowe



Ok. 1982



Ok. 1982



1981. Sesja do pierwszej płyty „Maanam”

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY:

Ciągle pan pyta, co sądzę
o mężczyznach...

„...Och proszę pana, jaki pan jest ciekawski...” Boskie Buenos

Myślę, że najważniejszy u mężczyzny jest charakter. Nieko- niecznie krystaliczny, takich przecież nie ma. Lubię mężczyzn, którzy mają osobowość, którzy potrafią bronić siebie.

Lubię mężczyzn, którzy mają w sobie zdecydowany rys męskości, ale też miękkość i dobroć; mądrych i autoironicznych.

Długo czekałam na mężczyznę, który pokocha mnie i odkryje. Dużo czasu upłynęło, zanim odkryłam, że spełnienie tkwi gdzie indziej. Że nie chcę być przez nikogo odkryta do końca. Wystarczy mi partnerstwo i miłość, którą dostaję od kilkudziesięciu lat od Kamila. Świadomość wspólnego, fizycznie i psychicznie, życia, które jest bliskie i jednocześnie oddalone. Ideał.

Nie lubię mężczyzn, którzy snują pomysły, z których nic nie wychodzi. Nie lubię snobów. Nie lubię takich, którzy dużo mówią o sobie i o tym, co przeżywają, bo wszystko przeżywają w słowach. I takich, którzy chcą mi organizować życie.

Lubię mężczyzn, którzy się pięknie śmieją.

Lubię mężczyzn seksualnych.

Lubię rozmawiać i lubię słuchać. Nienawidzę powtarzania w nieskończoność tego, co znam

już z radia i telewizji.

Nienawidzę nudziarzy. Nudny mężczyzna jest gorszy od głupca. Głupi potrafi człowieka czasami rozerwać swoją głupotą, a nudny nudą - nigdy.

Podobają mi się Robert De Niro, Clint Eastwood, Al Pacino, George Clooney i Johnny Depp. Mężczyźni, którzy oprócz swojego wielkiego talentu walczą o coś w życiu, o coś im chodzi. Bronią siebie samych przed tym, co w aktorstwie jest takie niebezpieczne. Bo sława i wielkie pieniądze są niebezpieczne. Udając bez przerwy kogoś innego, można zagubić istotę siebie samego.

Podobają mi się także Jack Nicholson i Marlon Brando. Bo w tej walce o siebie musi być trochę szaleństwa.

Ze współczesnych reżyserów podoba mi się David Lynch. Uwielbiam kino Kurosawy, Felliniego, kino tajemnicze, Johna Watersa, Paradżanowa. Przy kinie Watersa zamyka się oczy, a jednocześnie pokazuje ono prawdę o ludziach i świecie. Rzadko gdzie indziej to się zdarza.

Bardziej niż cokolwiek innego cenię w ludziach pasję. Lubię hazardzistów. Boję się ich, ale fascynują mnie. Lubię ludzi, którzy umieją grać.

W świecie muzyki moim ideałem jest Mozart. Człowiek kosmiczny. Podziwiam Davida Bowiego, Toma Waitsa, Nicka Cave'a, Becka, Devendrę Banharta, Briana Eno. Ludzi bardzo twórczych.

Nie mogę oczywiście pominąć mężczyzn - członków zespołu Maanam.

Marek: poważny, spokojny, smutny, trochę demagog, lubi straszyć, wzbudza zaufanie, przesądny. Często zajmował się wróżeniem i znakami zodiaku. Genialny kompozytor. Permanentnie się spóźniał, ale wynikało to z jego filozofii życia: Nieśmiały, niepewny siebie. Gdzieś tam na początku pomagał mu to przezwyciężyć alkohol. Ale przekroczył granicę, popadł w nałóg, co niewątpliwie przyczyniło się do rozbitcia zespołu.

Gitarzysta Płacho: dziwny człowiek, szczerze mówiąc, nie znałam go. Żył we własnym świecie. Lubił się bawić. Bardzo dobry gitarzysta. Bardzo dowcipny człowiek.

Perkusista Paweł Markowski: jak ja, spod znaku Bliźniąt. Wraz z bratem napisał książkę „Pamiętnik perkusisty zespołu Maanam”, gdzie w dość specyficzny sposób przedstawił historię grupy. Pisał ją

pod wpływem rozgoryczenia spowodowanego zwolnieniem z zespołu. Potem się wypierał - twierdził, że wszystko przekreślił wydawca. Nieśmiały, pełen kompleksów. Jego alter ego był zawsze szofer, cinkciarz, bramkarz, szatniarz, wykidajło, kelner. Wszystkie kobiety były jego: spikerki, piosenkarki, aktorki. Perkusista, który mógł grać tylko z Maanamem. Wrócił potem do zespołu. Może wyrósł ze swoich słabości?

O wszystkich członkach Maanamu, ze mną włącznie, mogę powiedzieć, że byliśmy bardzo nieśmiali i naiwni. Popełniliśmy przez to wiele błędów. Byliśmy wykorzystywani przez menedżerów. Osiągnęliśmy ogromny sukces, mieliśmy ponad trzysta koncertów rocznie, nagrywaliśmy płyty, o które ludzie się zabijali, a mimo to nigdy nie powodziło nam się finansowo. Byliśmy pochłonięci pracą, nie zwracaliśmy uwagi na korzyści, które naturalnie powinny z niej płynąć.



1997. Sesja do teledysku „Puerto Rico” Mariusza Grzegorzka

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY:

Cher, pani Lusia i inne

„Otwieram drzwi, to jesteś ty Przybiegłaś, widzę, jeszcze drzysz Gorące usta, gorące dłonie
W półmroku cała lśniesz...”

Lipstick On The Glass

P

iękne kobiety, które mają zero w głowie, są fascynujące, ale przez pięć minut. Jak rośliny. Niech one będą, ale niech nie wchodzą w moje życie. Bo co można zrobić z taką rośliną? Najwyżej przetworzyć na dżem.

Nie lubię kobiet nadmiernie troszczących się o innych - o męża, o dzieci, o dom. Nie znoszę kobiet wiecznie się zamartwiających. Nadmierna troskliwość jest zabójcza. Proporcje służą człowiekowi.

Lubię kobiety inteligentne i piękne. To ideał. Kiedy widzę, że kobieta nie dba o siebie, że marnuje swój potencjał, to mam do niej pretensję, zwłaszcza jeżeli jest mi bliska.

Przyjaźnię się z kobietami lojalnymi, na których można polegać, do których można się zwrócić w trudnych momentach. Bo tylko w takich momentach trzeba się do drugiego człowieka zwracać o pomoc czy radę. Nie lubię zawracać głowy innym. Uważam, że trzeba nauczyć się samemu przeżywać swoje problemy i umieć samemu z tych problemów wychodzić metodą przemyśleń, rezygnacji, wchodzenia

w siebie, oceny sytuacji. Nie znoszę ludzi, którzy ciągle obwiniają innych o swoje

niewodzenia.

W moim otoczeniu jest zawsze więcej mężczyzn niż kobiet. Nie potrafię jednoznacznie odpowiedzieć dlaczego. Może kobiety nie garną się do mnie, bo nie lubię rozmawiać na takie typowo kobiece tematy? W ciąży rzadko mówiłam o ciąży, związanych z nią zmianach w moim życiu, nie lubię mówić o tym, jakie były moje dzieci, kiedy były małe, jakie są teraz. Chyba mam trochę męski umysł. Wychowałam się wśród braci, to przede wszystkim oni byli moim towarzystwem w dzieciństwie. Bracia i ich koledzy.

Jednak jestem feministką. Chociaż uważam, że wyłączenie towarzystwa kobiet jest dla kobiety degradujące. Nie walczę o prawa kobiet, ale popieram działalność feministek. Przyjaźnię się z Magdą Środą i Niką Bochniarz. Lubię Kazię Szczukę. Nie lekceważę problemów feministycznych. Kobiety nadal, szczególnie w Polsce, muszą żyć pod dyktando mężczyzn: kleru, polityków i przedsiębiorców. Trzeba to zmienić. Patriarchat wyrządził wiele krzywd.

Miałam przyjaciółkę Galie. Przyjaźniłyśmy się od piątej klasy szkoły podstawowej do ostatniej klasy liceum. To była nadzwyczaj intensywna przyjaźń. Spędzałyśmy ze sobą mnóstwo czasu. Żadnych mężczyzn. Galia była bardzo inteligentna i piękna. Utalentowana, zdolna, pełna pomysłów. Tworzyłyśmy nierozłączną parę: Kora i Galia. Kiedy zakochałam się w Psie, nasze więzy momentalnie osłabły. Gdy byłam z nim, nie potrzebowałam już jej. Wiosną 1982 roku Galia popełniła samobójstwo. Rzuciła się z dachu swojego domu.

Mam przyjaciółkę Ute. Posiada niespożytą energię, charakter, dobroć. Kobieta, która będąc bardzo zmęczona - jaw tej sytuacji wyrzuciłabym wszystkich gości z domu - daje siebie do końca. W drugim człowieku podziwiamy tę zdolność ofiarowywania się, takiego Chrystusowego dawania. To jest bardzo piękne. Podziwiam w niej to i za to ją kocham. Sama taka nie jestem. Bywam w stanie poświęcić się dla drugiej osoby, ale nie zawsze. Ute obserwuję od lat i widziałam ją w sytuacjach, kiedy padała na twarz, a mimo to potrafiła jeszcze z siebie coś ludziom dać.

Uta jest idealistką. To też jest fascynujące - człowiek, który w imię czegoś potrafi się wyrzec swojego komfortu. Sama taka nie jestem. Uta to mądry człowiek i dobra osoba. Jest zespoleciem cech kobiecych i męskich. Bardzo lubię mężczyzn obdarzonych kobiecymi cechami i pewne cechy męskie w kobiecie.

Mam przyjaciółkę Anię. Moją siostrę. Bardzo ją kocham, do dziś zastępuje mi mamę. Jest do naszej mamy podobna.

Jak matkę traktowałam też panią Lubie. Opiekowała się moimi dziećmi, gdy jeździłam na koncerty. Prowadziła mi dom.

Bardzo się przyjaźnię z Małgosią Kittel oraz Kasią Walicką Maimone. Kasia jest kostiumografem i robi stroje dla amerykańskich filmów i teatrów. Oboje z Kamilem przyjaźnimy się także z naszymi sąsiadami z Żoliborza - Danutą Raczkiewicz i Tomkiem Chenczke, także z Jankiem Lityńskim i Elą Bogucką.

Podziwiam amerykańską aktorkę Meryl Streep. Mężczyźni często uważają ją za brzydką, twierdzą, że nie może się podobać. Dla mnie jest piękna. Ma niezwykle inteligentną twarz, bardzo inteligentny sposób gry. Myślę, że bardzo wiele swoich własnych cech przenosi na postaci, które gra. Podoba mi się bardzo jako człowiek. Chciałabym ją poznać. Chciałabym z nią pobyc. Ma aurę tajemniczości.

Lubie Cher. Ponoć jest głupia, „nie zna się na zegarku”. Nie wierzę. Jest bardzo zdolna, pięknie śpiewa, gra, walczy o siebie w sposób, który budzi szacunek. Zrobiła sobie dziesiątki operacji plastycznych? To nieważne.

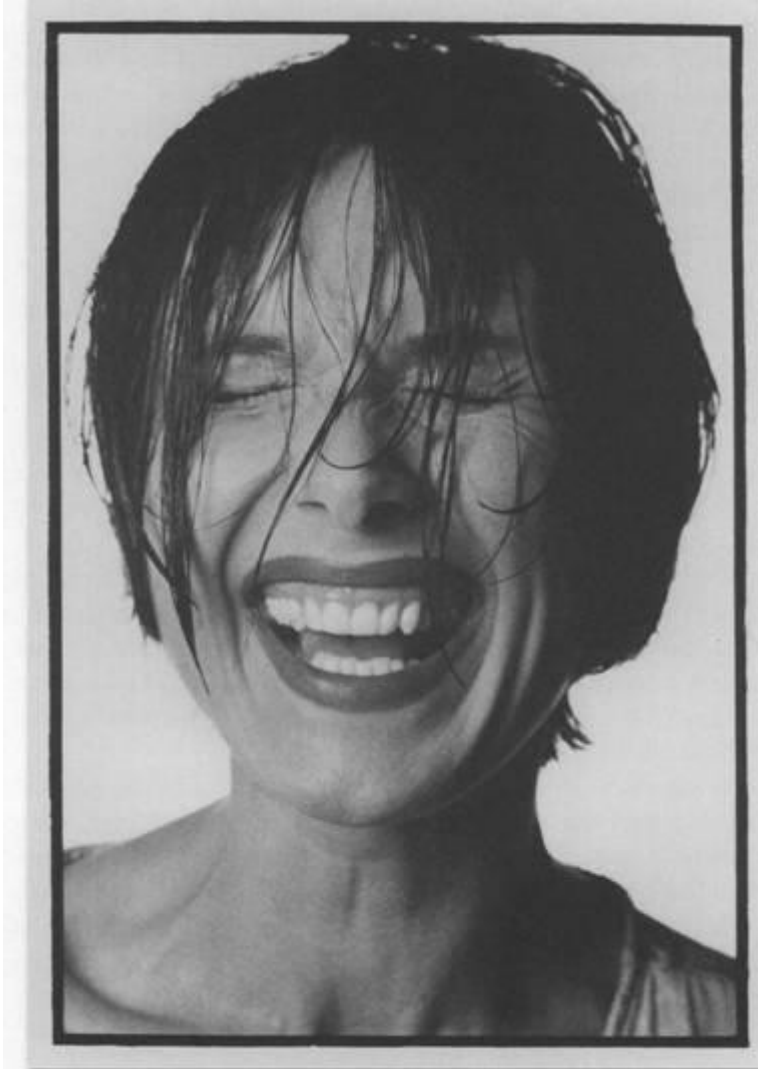
Madonnę cenię za szaloną pracowitość. Lubie na nią patrzeć, zwłaszcza w teledyskach. Ale nie akceptuję wszystkiego, co mówi i robi. W zasadzie w ogóle nie powinna mówić, ma bardzo ordynarny tembr głosu. A przecież doskonale wyraża się w wideoklipach i filmach. Stoi za nią siła pieniędzy - tak wielka, że może pokazać, co naprawdę czuje. I robi to. Nie boi się.

Uwielbiałam i uwielbiam Amy Winehouse. Moim zdaniem to największa wokalistka ostatniej dekady. Autodestrukcyjna. Mistrzynie jako wokalistki są dla mnie Billie Holiday i Edith Piaf. Z epoki hippisowskiej piękna Grace Slick z Jefferson Airplane oraz szalona Janis Joplin.

Potem Siouxi Sioux i PJ Harvey. Ostatnio odkryłam wielką śpiewaczkę meksykańską - Chavele Vargas. Mogę jej słuchać na okragło.

Z polskich wokalistek to przede wszystkim brylant - Ewa Demarczyk. A ostatnio świetna Kasia Nosowska.

Cenię też kobiety artystki: Pinińską-Bereś, Szapocznikow, Abakanowicz, Kozyrę i nieodkrytą do dziś Małgorzatę Starowieyską (Mao Star).



Sesja okładkowa do „Wysokich Obcasów”



1996. Z planu teledysku „Mówią, że miłość mieszka w niebie (Repryza)”



1982. Sesja do promocji płyty „0!”

ROZDZIAŁ JEDENASTY:
Miłość, seks i domy publiczne

„Mam tylko jedno skrzydło To prawie tak jak anioł
A Ty masz skrzydło drugie Rośnie u Twoich ramion...” Anioł
„Mów mi tylko o miłości
Dobrze mi, tak dobrze mi ściśnij serce aż do bólu
ściśnij aż do pierwszej krwi...” Złote tango, złoty deszcz
S

amotność, która jest zasadniczym stanem naszego życia, staje przed nami jako próba i
czyściec, po których zakończeniu zniknie udreka i nietrwałość. Pełnia, połączenie, pogodzenie ze
światem

czekają nas na końcu labiryntu samotności... W naszym świecie miłość jest doznaniem
prawie niedostępnym. Wszystko jest jej przeciwne: moralność, klasy, prawa, rasy i sami zakochani.
Kobieta zawsze była czymś innym dla mężczyzny, jego przeciwieństwem i dopełnieniem. Kobieta
jest przedmiotem na przemian drogocennym albo szkodliwym, ale zawsze odrębnym... Miłość nie
jest aktem naturalnym. Jest czymś ludzkim i, zgodnie z definicją, tym, co najbardziej ludzkie, to
znaczy wytworem, czymś, co stworzyliśmy i co nie występuje w przyrodzie. Czymś, co zrobiliśmy,
co robimy codziennie i codziennie niszczymy...

W naszych czasach miłość jest skandalem i zamętem, wykroczeniem: czymś na
podobieństwo dwu gwiazd, które łamią swoje wyznaczone orbity i spotykają się w polowie drogi.
Romantyczne pojęcie miłości, w którym mieści się zerwanie i katastrofa, jest jedynym, jakie
znamy, gdyż wszystko w społeczeństwie przeszkadza, by miłość była wolnym wyborem... Miłość
jest, choć tego nie zamierza, aktem antyspołecznym, gdyż zawsze, kiedy się urzeczywistnia,
narusza małżeństwo i przekształca je w to, czym społeczeństwo nie chce, by ono było: ujawnieniem
dwóch samotności, które same przez się tworzą świat rozbijający społeczne kłamstwo, obalający
czas i pracę, i objawiający się jako samowystarczalny. Społeczeństwo więc tępi z zaciekleścią
miłość i poezję... a one wybuchają formami zadziwiającymi i czystymi: jako obraza, zbrodnia i
poemat':

Odnalazłam siebie w twórczości Octavia Paza. On na określenie miłości używa słowa
„komunia”. Jeszcze o tym nie wiedziałam, kiedy użyłam tego słowa w tym samym kontekście w
piosence „Anioł”. To mnie do niego przyciągnęło. Czytam go teraz na okrągło.

Dlaczego miłość jest aspołeczna? Bo w prawdziwej miłości czas przestaje istnieć. Jeżeli
człowiek jest naprawdę zakochany, to inni ludzie są mu niepotrzebni; potrzebny jest mu tylko ten
jeden człowiek Dzieje się tak wbrew wszelkim normom społecznym.

Miłość jest samowystarczalna. W miłości czas chronometryczny przestaje istnieć. świat się
od zakochanych oddala, nie słyszą go. W momencie, w którym z powrotem wchodzi w świat,
zabijają miłość. Można walczyć o swoją miłość ze światem, ale to już jest zawsze jakoś wbrew
nakazom społecznym.

Społeczeństwo pielęgnuje instytucję małżeństwa. Bo małżeństwo służy społeczeństwu, ale
jest też grobem miłości. Małżeństwo niesie ze sobą przekupność uczuć i zbrodnie, takie jak
niszczenie drugiego człowieka. Tak było w przypadku mojego małżeństwa. I nie tylko. Większość
naszych znajomych, którzy w kościele czy urzędzie przypieczętowali swoje uczucie na wzór
popierany społecznie, skończyła rozstaniem. Mężowie porzucali żony, dzieci, często w trudnej,
rozpaczliwej wręcz sytuacji. Nie od dziś wiadomo, że mężczyźni dużo łatwiej jest wejść w nowy
związek niż kobiecie. Ona myśli przede wszystkim o dzieciach i najczęściej to ona z nimi zostaje.

Ponieważ społeczeństwo w tak wyrafinowany sposób obwarowało instytucję małżeństwa
rozmaitymi przywilejami, udogodnieniami, podatkowymi ulgami, to bycie w małżeństwie jest
łatwiejsze. Ale pannie z dziec-

kiem społeczeństwo już tak chętnie nie pomaga. Można też żyć z drugim człowiekiem całe
życie i w momencie, kiedy on zachoruje albo umrze, okazuje się, że nie ma się prawa odwiedzić go
w szpitalu. Bo nie było małżeństwa.

Homoseksualizm nie jest chorobą Jeżeli mnie podobają się mężczyźni, to dlaczego

mężczyźnie nie może spodobać się drugi mężczyzna? Mężczyzna ma takie samo jak ja prawo zachwycić się drugim mężczyzną, a kobieta drugą kobietą

Nie wiem, co to jest seks obyczajny. Dla mnie to seks, który nie zagraża życiu i zdrowiu drugiego człowieka - zdrowiu psychicznemu i fizycznemu. Seks jest najpiękniejszy wtedy, kiedy jest miłość. Nie ma miłości bez seksu. Ale jest seks bez miłości i nie ma w tym nic złego. Seks jest potrzebny. Jest kontaktem z drugim człowiekiem, z jego ciałem. Pocałunki, pieszczoty - bez tego życie nie ma żadnego sensu. Przynajmniej dla mnie. Ale myślę, że dla większości ludzi.

To, co mnie interesuje w seksie, to pewnego rodzaju sadyzm psychiczny. Gra umysłowa, gra dusz, gra słów. Gra między tym, co w kobiecie jest najbardziej kobiece, a w mężczyźnie najbardziej męskie. Im ta druga osoba jest ciekawsza, tym też gra jest ciekawsza. Tego rodzaju seks nie polega tylko na kopulacji. Niezbędna jest wyobraźnia, bo wszystko rozgrywa się w głowie. Raz ja dominuję, raz dominujesz ty. Taki intelektualny układ sadomasochistyczny, bez pejczy i kajdanek. To ostatnie w ogóle mnie nie interesuje. Nie lubię dosłowności w niczym, a w seksie już najmniej.

Uważam, że domy publiczne są potrzebne i jeśli kobiety lub mężczyźni pracują w nich z własnej woli, spełniają ważną rolę społeczną. Dom publiczny jest przede wszystkim konkurencją dla sutenerstwa, przemocy i wykorzystywania. Są samotne kobiety i mężczyźni, którzy nie mogą znaleźć sobie kogoś na stałe, ale potrzebują seksu. To zwyczajna biologiczna potrzeba, którą można zaspokoić bez wstydu i poniżania siebie czy drugiej osoby. W wielu miejscach świata to norma. Zamiast iść na obiad, idziesz do burdelu. Jeżeli cię nie stać - raz zjesz, a raz sobie popieprzysz. I można żyć.

Nie przyjmuję do wiadomości istnienia drzewa zakazanego. Umówmy się, że go nie ma. Człowiek winien mieć dostęp do wszystkiego i od niego powinno zależeć, z czego korzysta. Więcej zła rodzi się przez niedostępność, zakazy niż przez dostępność.



Ok. 1975. Kora i Kamil

ROZDZIAŁ DWUNASTY:

Zakazany owoc
smakuje lepiej

N

ie piję alkoholu. Nigdy. Od wielu, wielu lat nie palę marihuany ani haszyszu. Opowiadam się za legalizacją narkotyków nie jako ich konsument. To wynika z postawy obywatelskiej. To jakieś wielkie nieporozumienie, że ludzi, którzy są za legalizacją, uważa się za palaczy. Marian Turski brał udział w słynnym marszu Martina Luthera Kinga przeciwko rasizmowi, ale chyba nikt nie podejrzewa go o to, że jest czarny?! Dlaczego bez refleksji akceptujemy hazard, alkohol i papierosy, a jednocześnie tak łatwo odrzucamy marihuanę czy haszysz? Przecież są mniej szkodliwe od alkoholu i papierosów.

Przez wódkę straciłam dwóch braci. Dosłownie - obaj nie żyją. Nie chodzi wyłącznie o dramat związany z ich śmiercią, ale także o dramat życia z nimi, wiecznie pijanymi. To zresztą nie tylko mój dramat jako siostry. To także - później - dramat żony.

Alkoholizm to w Polsce plaga. Często bierze się z biedy, z niehumanitarnych warunków, w których przyszło nam żyć. Po wojnie ubóstwo złączyło się z łatwo dostępnym alkoholem. Nie było nikogo, kto uświadamiałby młodym ludziom, jakie są tego konsekwencje. W Holandii dzieje się w tym kierunku edukuje - chodzą do szpitali psychiatrycznych, do zakładów penitencjarnych, gdzie na

własne

oczy mogą zobaczyć ofiary uzależnień. Nie wierzę w skuteczność szpitalnych odwyków. Oczywiście trzeba leczyć ludzi słabych, którzy nie są w stanie sami poradzić sobie z uzależnieniem, ale nie wyobrażam sobie siebie w takim miejscu.

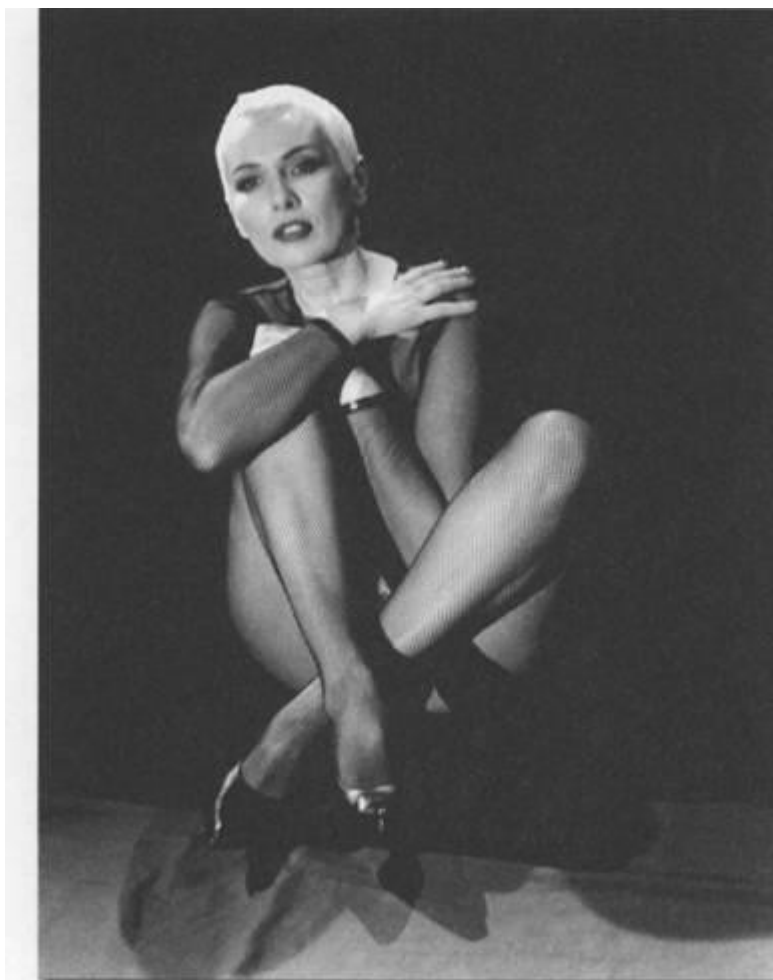
Amy Winehouse śpiewała „They tried to make me go to rehab but I said no, no, no” (Próbowali nakłonić mnie do pójścia na odwyk, ale powiedziałam nie, nie, nie). Ja też, gdybym była alkoholiczką, nie wytrzymałabym na odwyku prawdopodobnie pięciu minut. Jeśli człowiek nie czuje w sobie siły, żeby stawić czoło uzależnieniu, prawdopodobnie na dłuższą metę nic nie jest w stanie mu pomóc. Liczy się nasza praca, nasza chęć uwolnienia się od nałogu, a nie tak zwana Opatrzność Boża czy zastrzyk od pielęgniarki.

Zakazany owoc - tak było, jest i będzie - smakuje lepiej. Nawet tak ciężkie narkotyki jak heroina, jeśli są kontrolowane przez państwo, jeśli uzależnieni są przez to państwo kontrolowani, stają się mniej groźne społecznie. Są na to na świecie dowody. Przykładem jest choćby Jerry Garcia z Grateful Dead. To oczywiście przypadek szczególny - człowiek bogaty, nieprawdopodobnie popularna ikona muzyki rockowej. Ale żył bardzo długo, będąc do końca heroinistą, bo był pod kontrolą lekarzy, którzy dbali o jego stan zdrowia. Podobnie jest z Keithem Richardsem z The Rolling Stones. Można być heroinistą i pracować w każdym zawodzie, nie degradować się, można być ojcem, można być mężem i nie stanowić dla nikogo zagrożenia - ani dla siebie, ani dla otoczenia. Dla zdrowia społecznego to dużo lepiej pod każdym względem.

Czy jest szansa na to, że w dającym się przewidzieć czasie polski rząd zalegalizuje narkotyki? Nie sądzę. Większość polityków nawet nie wie, co to takiego, żyje w świecie oderwanym od rzeczywistości, myślą wszystko ze wszystkim. Jeden z ministrów - członek komisji, która zajmowała się niewielką zmianą w polskim prawie, w wyniku której młodzież miała nie trafiać do aresztu za posiadanie niewielkiej ilości marihuany - był przekonany, że marihuana to proszek wciągany przez nos. Chyba mu się z tabaką pomyliło... I jak tu rozmawiać o legalizacji?

Ale powinniśmy mieć wolny wybór. Zakazy niosą ze sobą nieoszacowane szkody społeczne. Przecież wszystkie te niedozwolone rzeczy ludzie mogą zdobyć i zdobywają. Lepsze, ale z reguły gorsze, zatrute i bardziej szkodliwe, bo niekontrolowane przez państwo. Wiąże się z tym struktura przestępczości, nielegalnych pieniędzy, i tak dalej.

Jeśli niezdrowe używki są oficjalnie dostępne, a przy okazji prowadzona jest kampania uświadamiająca ludziom, w jakim stopniu są one szkodliwe, to łatwiej jest z tego zrezygnować. W wyniku mądrze prowadzonej kampanii, pewnego rodzaju mody i zdrowego snobizmu ludzie w Stanach Zjednoczonych przestają palić papierosy, koncerty tytoniowe upadają. Ta moda rozlewa się już na cały świat. Gdyby od stu lat marihuana i haszysz były legalne, to być może dziś ludzie odchodziliby od tych środków, tak jak odchodzą od papierosów.



1999. Sesja dla „Playboya”, publikacja w numerze kwietniowym

ROZDZIAŁ TRZYNASTY:

Język Kościoła

W

dzieciństwie zastanawiałam się, czy zakonnica i ksiądz sikają. Jak to robią, nie dotykając swoich części intymnych? Zakonnice uczyły nas, że intymne części ciała są obrzydliwe, a ciało grzeszne. Poświęcanie ciała w imię Jezusa Chrystusa, który przecież nigdy od nikogo tego nie wymagał, jest całkowitym zafałszowaniem jego nauki. Wszystko przecież zaczyna się od dala. Dlaczego nie możemy kochać Jezusa jako człowieka godnego naśladowania i jednocześnie kochać swojego ciała, być z drugim człowiekiem, kochać się z nim?

Kto pierwszy powiedział, że ksiądz nie może mieć żony i dzieci? Ksiądz jest moim zdaniem urzędnikiem, dlaczego pozbawiać go praw należnych wszystkim urzędnikom i ludziom w ogóle? Ksiądz może się obżerać, grzeszyć gniewem, pychą czy lenistwem, ale nie może się kochać. To absurd, totalny brak logiki.

Człowiek zaspokojony seksualnie jest o wiele bardziej szczęśliwy, a co za tym idzie - bardziej wrażliwy na innych. Jest łagodniejszy, jest lepszy, bardziej wyrozumiały, bo sam doświadcza pełni życia. Bez seksu księża są często bardziej niż przeciętny człowiek sfrustrowani, napięci, dziwaczej i dewiują.

Kiedy uczyłam się już w Krakowie, jak wszyscy chodziłam na religię. Chcąc nie chcąc, moja rodzina była związana z Kościołem, bo Kościół

biednym rodzinom pomagał. Nam także. Czuliśmy się zobowiązani, aby okazać wdzięczność, i chodziliśmy do kościoła częściej niż inni.

Mieliśmy w parafii zaprzyjaźnionego księdza, starszego człowieka. Często zaczepiał nas, dziewczynki, coś opowiadał, wypytywał, jak nam idzie w szkole; lubił z nami rozmawiać. Mieszkał

w jednej z najpiękniejszych willi w dzielnicy. Cała obrosnięta winoroślą. Na najbardziej słonecznej ścianie rosły bardzo dobre winogrona. Latem zapraszał nas na nie, a potem do siebie do domu. Bardzo lubiłam tam być - pokój zacieniony winoroślą, mnóstwo książek i wspaniale biurko. Wydawało mi się, że to pokój jakiegoś wybitnego naukowca. Książki zawsze robiły na mnie wrażenie. Sądziłam, że jestem w świątyni ducha. Ale któregoś dnia ta świątynia ducha okazała się świątynią uwiązanego seksu. W trakcie rozmowy ksiądz nachylił się nade mną, chwycił moją głowę, przekrzywił ją i wsadził mi język do buzi. Miałam dziesięć lat.

Napatrzyłyśmy się już z koleżankami na wielu zbrodźców z naszej dzielnicy, wiedziałyśmy, co to znaczy. Mimo wszystko bałam się powiedzieć o tym mamie, choć wiedziałam, że to, co się zdarzyło, było złem. Brzydziłam się potem tego księdza. I do dziś kościół kojarzy mi się z czymś ciemnym, tajemniczym i groźnym, ze strachem albo raczej z zastraszeniem, i jednocześnie, co wyczuwałam od samego początku, ze zbrodnią seksualnym. Na temat tego dziecięcego przeżycia, które powróciło do mnie z wielką siłą gdy zaczęto odkrywać coraz więcej przestępstw wobec dzieci dokonanych przez kler, napisałam piosenkę „Zabawa w chowanego”. Do piosenki nakręcono bardzo piękny teledysk.

W klasztorze sióstr Prezentek w Jordanowie, gdzie się „wychowałam”, przełożona siostra Weronika była lesbijką. Wszystkie zakonnice były tam zresztą niedowartościowane seksualnie. Widać to było zwłaszcza wtedy, gdy w klasztorze pojawiał się ksiądz. Mężczyźni - także ci w sutannach - robili na nich ogromne wrażenie. W niedzielę po mszy robił się ogromny rejwach: ksiądz przychodził do nas na śniadanie. Zakonnice biegały, szczebiały, furkotały tymi swoimi nakryciami głowy. Znosiły mu świeże bułeczki maślane, śmietankę, kawę, kakao. Rzeczy dla nas niedostępne.

Myślę, że to, że spędziłam w takim miejscu dzieciństwo, wpłynęło także na moją wyobraźnię seksualną. Ta atmosfera zakazanego, chorego seksu, jaka panowała w klasztorze, udzielała się podświadomie nam, małym dziewczynkom. Zakonnice w nieskończoność powtarzały nam przestrogi, piętnowały grzech cielesny. A tym samym zwracały naszą uwagę właśnie na seks. Zabawy seksualne, jakie się między dziewczynkami odbywały, wynikały właśnie z tego, że seks stanowił tabu.



1997. Sesja do płyty „Rockandrolle”



1997. Z planu wideoklipu „Smycz”



1994. Sesja do płyty „Róża”



1996. Sesja do płyty „Łóżko”, rysunki Kamil Sípowicz

ROZDZIAŁ CZTERNASTY:

Taxi patrol

„Z dołu do góry, z góry na dół

Z ciemności w słońce, z ciszy w krzyk.: Raz-dwa, raz-dwa

0

!" to najgorsza i najlepsza płyta Maanam. Odniosła największy sukces komercyjny.

Ustawiały się po nią ogromne kolejki. Była jedyna, niepowtarzalna - powstawała w tak paranoicznej

atmosferze, że żadna następna nie mogłaby już tak powstawać, bobyśmy się pozabijali.

Złożyła się na to atmosfera początku stanu wojennego, nasze rozedrganie, alkoholizm, rodzinne rozbicie. Non stop pijani byli właściwie wszyscy oprócz mnie i realizatora. Nagrywaliśmy na permanentnym kacu. Jeśli ktoś z grupy był na tyle pijany, że nie był w stanie nagrywać, dawaliśmy mu trochę czasu na dojście do przytomności.

Marek nie mógł zamieszkać ze mną, bo nie był w naszym krakowskim mieszkaniu oficjalnie zameldowany. Stacjonował w hotelu Cracovia, co tylko pogłębiało u niego depresję i zwiększało możliwości wchłaniania alkoholu. Jego hotel był dwa kroki od naszego studia nagraniowego w Teatrze Stu. Ja do domu miałam dalej. Była zima, straszny mróz, wszędzie koksowniki. Nie miałam oczywiście samochodu. I - do dziś mnie to zadziwia, a naprawdę trudno jest mnie zadziwić - do domu odwozili mnie żołnierze z okolicznych patroli.

To było cudowne, móc porozmawiać z nimi, dowiedzieć się, co myślą na temat stanu wojennego. Myśleli to samo co my.

W trakcie pracy nad „O!" wszyscy czuliśmy, jakby zaraz miał się skończyć świat, jakby to była nasza ostatnia płyta. Straciliśmy nad nią kontrolę. Powstawała jak gdyby sama z siebie. Wszystko lepiło się do kupy niezależnie od nas. Jedyną przytomną osobą w naszym otoczeniu był chyba jej producent Jacek Mastykarz. Wyobrażam sobie, że obserwując nas, przeżył horror. Z taką bandą paranoików nigdy przedtem ani potem pewnie już nie pracował. „O!" to płyta dokument, o dużym ładunku emocjonalnym.

Do Holandii pojechaliliśmy jako zupełnie nikomu nieznaną grupę. Graliśmy najpierw dla bardzo małej publiczności. Ale, o dziwo, nawet jak mieliśmy na sali sześć czy siedem osób, to

żądały bisów. To był fenomen Maanam, że ludziom nie przeszkadzało, czy są w tłumie, czy nie; byli tak zafascynowani, zauroczeni tym, co robiliśmy, że domagali się więcej.

Na Zachodzie budowaliśmy sobie publiczność według podobnego schematu co w Polsce. Jeżeli wśród tych sześciu osób na sali był jeden dziennikarz, to następnego dnia robił nam taki PR, że na kolejnym koncercie było już sto osób. Potem dwieście, a potem tysiąc. Tysiąc pięćset. Graliśmy też na festiwalach, gdzie była kilkudziesięcioletnia publiczność (Roskilde, Turku).

O polskiej muzyce rockowej ludzie na Zachodzie mieli wtedy jak najgorsze wyobrażenie. Zmieniali je na podstawie tego, co usłyszeli na koncertach Maanam. Byliśmy przyzwyczajeni do tego, że kiedy przyjeżdżaliśmy do kolejnego klubu, z początku traktowano nas bardzo lekceważąco. Znosiliśmy to dzielnie, a następnego dnia był wielki sukces i całkiem inne podejście. Ludzie przychodzili po koncertach, całowali nas, przytulali, byli w szoku, że nigdy wcześniej o nas nie słyszeli. Kiedy wracaliśmy po kilku miesiącach w to samo miejsce, wystarczyło, że w klubie wisiał plakat „Maanam and Kora is back”, żeby była pełna sala. Ludzie potrafili, jak w Paard van Troje w Hadze, czekać na nas do późnej nocy, bo spóźniliśmy się cztery godziny. Pełen klub czekał cierpliwie, żeby zobaczyć nasz występ. Podobnie było w RFN, gdzie mieliśmy nawet własne fankluby. Pisały o nas niemieckie gazety codzienne, tygodniki typu „Stern”, regularnie byliśmy gośćmi niemieckiej telewizji. Nie odnieśliśmy oszałamiającego sukcesu kasowego, ale byliśmy rozpoznawalni. Na słynnym festiwalu w Roskilde występowaliśmy w towarzystwie Simple Minds, Siouxsie And The

Banshees, Andresa Vollenweidera. W programie transmitowanym na żywo przez telewizję „Music Convoy” występowaliśmy razem z Bon Jovi. Poznałam Ninę Hagen. W Turku w Finlandii graliśmy z The Cure i Lloyd Cole and the Commotions.

Był taki moment, że w sklepach muzycznych mieliśmy swoją półkę „M jak Maanam”, a tam trzy płyty: „White Cat”, „Night Patrol” i „Totalski No Problemski”. Z perspektywy czasu wydaje mi się to o wiele większym sukcesem. Wtedy wydawało nam się, że zawojujemy świat. Mieliśmy w sobie wielką siłę i kilka płyt w sklepie muzycznym nie robiło na nas wrażenia. Chcieliśmy więcej.



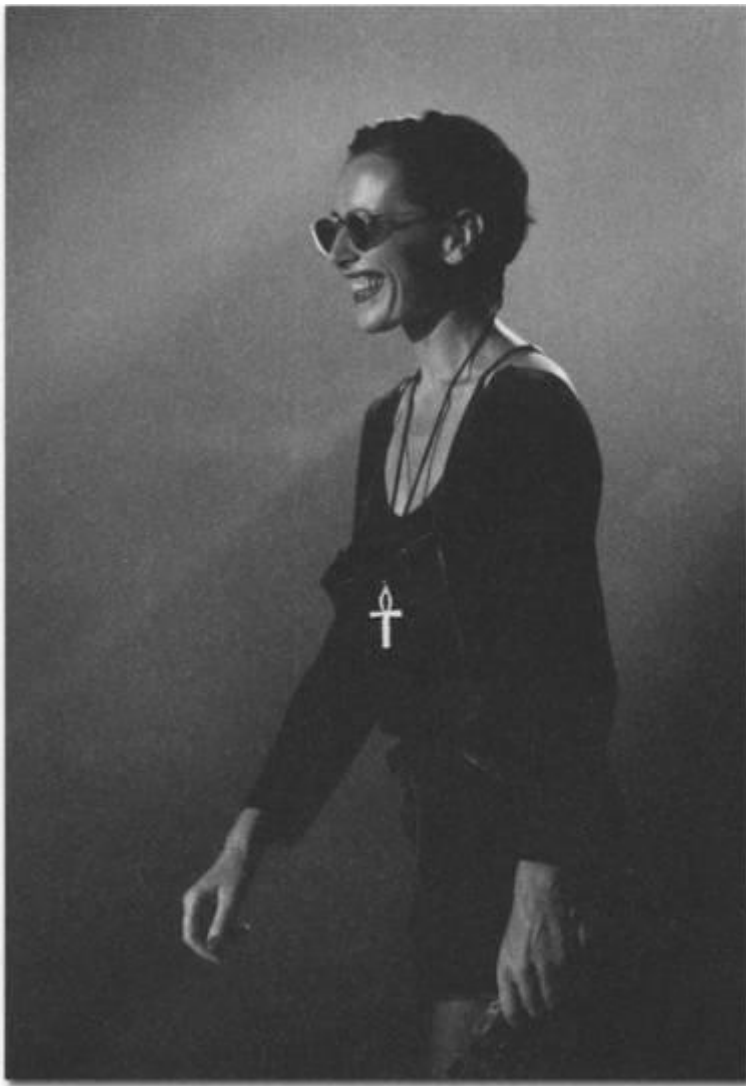
1996. Dekadent



1998. Sesja zdjęciowa do płyty „Klucz”



1998. Realizacja teledysku „Peuerto Rico” z płyty „Klucz”



1994. Koncert „Róża”. Kraków, studio TVP



1994. Sesja zdjęciowa do płyty „Róża”

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY:

Wiesiu od swojej i mojej wielkości

„Nie bój, nie bój, nie bój się, nie bój, nie bój się..?” Nie bój się

w

historii muzyki rozrywkowej znamy różne szalone interpretacje piosenek. Manson na przykład tak interpretował piosenki Beatlesów, że w efekcie mordował ludzi. Przewrotnych interpretacji tekstów Maanamu dokonywał pewien szalony fan opanowany „maanamonią”. Uważał, że to teksty wręcz prorocze. Doprowadził nawet do tego, że powstała szkoła mojego imienia.

Wiesiu Ciasnowski, bo o nim mowa, jak się później zorientowałam, owładnięty był manią wielkości własnej i jednocześnie Maanamu jako całości oraz mojej. Będąc blisko zespołu, dodawał splendoru sobie, stawiając nas na piedestał, stawiał jednocześnie siebie tuż obok. Jeździł po całej Polsce z prelekcjami i w zależności od sytuacji tak interpretował teksty, jak mu się podobało. Więc jedne były prorządowe, inne były anty-, jedne były prokomunistyczne, inne były antykomunistyczne. Doprowadził do tego, że do Ministerstwa Edukacji wpłynął wniosek, aby szkoła budowlana, w której pracował, nosiła imię najwybitniejszej polskiej poetki Olgi Jackowskiej. Dopiero potem się zorientowali, że to o mnie chodziło. Mało tego, postawili w tej szkole mój pomnik. Bardzo to było śmieszne. A Wiesiu był szalony.

W Krakowie miałam setki fanów. Pisali listy, ale też wielu z nich dosłownie wychowało się przy mnie.

Na początku kontakty z fanami były bardzo miłe. Wracałam z trasy, ludzie się pojawiali i to było takie przedłużenie życia koncertowego. Przychodzili z kwiatami, z prezentami, drobiazgami i zostawali u nas w domu.

Po pewnym czasie stało się to bardzo męczące, bo nie sposób jeździć w trasę przez dwadzieścia dni w miesiącu, a po powrocie przyjmować w domu setki ludzi z całej Polski. Głupio też nie przyjmować, skoro często przejechali po to szmat drogi. To był dylemat, którego długo nie mogłam rozwiązać. W końcu dzieci i gospodyni okłamywali gości mówiąc, że nie ma mnie w domu. Zrozumiałam, że w zasadzie nie mam życia prywatnego. Że zapraszając fanów do domu, nam-szyłam intymność swoją i dzieci. Kontakt z widownią podczas koncertu to nie to samo co przyjmowanie widzów we własnym domu. Gdy wychodzę na scenę, nastawiam się na wspólne przeżywanie, gram. W domu mam przecież różne nastroje i nie zawsze chcę się uśmiechać. W trasie jestem zorientowana na ludzi, a w domu na siebie i rodzinę.

Zdarzali się jednak tacy fani, którzy nie rezygnowali, stali godzinami pod moim balkonem na parterze i część z nich została moimi domownikami.

Z początku nie wiedziałam, có z tymi ludźmi robić; byli bardzo młodzi, mieli po piętnaście lat. Nie mogłam na dłuższą metę znaleźć z nimi kontaktu, zbyt duża była między nami różnica wieku. Ale w końcu wymyśliłam dla nich formułę: jeżeli chcieli przychodzić do mnie domu, to musieli jakoś w tym domowym życiu partycypować, to znaczy pomagać mi. Robili zakupy, czasami zajmowali się dziećmi, odrabiali z nimi lekcje, bawili się z nimi. Dzięki tej pomocy mogłam odnowić życie, nawet towarzyskie, no bo oni przecież w moim życiu towarzyskim nie uczestniczyli. Takim fanem przyjacielem był na przykład Jacek Poniedziałek.

Przez wiele lat korespondowałam z fanami, odpisywałam prawie na każdy list. Niektóre były dramatyczne, inne bardzo intymne. Zgłosili się nawet do mnie socjologowie, którzy dzięki tym listom chcieli mieć wgląd w środowisko, na ich podstawie opisać problemy młodych ludzi.



Nowy Jork, 1990



ROZDZIAŁ SZESNASTY:

Rok 1984

„Pokazałeś mi drzwi

Choć wiedziałeś, że tam nie ma nic Prócz chłodnych, białych dni

Nie ma nic, nie ma nic, nie ma nic..." 1984

B

ył rok 1984. Pracowaliśmy wtedy z wytwórnią Rogot, która załatwiła nam wakacje w Mrągowie, w hotelu Mrongovia. Odpoczywaliśmy, jednocześnie przygotowując się do nagrywania kolej-

nej płyty i do koncertów. Miało to być połączenie przyjemnego z pożytecznym. Byliśmy z dziećmi. Namiętnie graliśmy w kości i mini-golfa.

Pewnego razu Antoni Roszczuk, jeden z menedżerów Rogot, zadzwonił z pytaniem, czy nie wystąpiłabym na imprezie poświęconej zjazdowi młodzieży komunistycznej w Pałacu Kultury, w Sali Kongresowej. Miał być premier Związku Radzieckiego Nikołaj Ryzkow. Cała wierchuszka komunistyczna na imprezie organizowanej przez Waldemara Świrgonia.

No i wpadli na szatański pomysł, żeby grupa Maanam dla nich wystąpiła. Ponieważ z Antonim mówiliśmy sobie szczerze wszystko, co nam się podoba i co nam się nie podoba, niezależnie od tego, jaki był efekt tej szczerości - powiedziałam, że oczywiście nic z tego. Okazało się jednak, że moja odpowiedź była niewystarczająca, bo telefony się powtarzały. Doszło do tego, że zaczęły być bardzo brutalne i napastli

we w treści, wręcz ordynarne. Z mojej strony też padały inwektywy Zrozumiałam, że to już

nie jest pytanie, czy wystąpimy, lecz propozycja nie do odrzucenia.

To, że ktoś zdecydował za mnie w tak ważnej sprawie, spowodowało, że powiedziałam zdecydowanie: nie! W odpowiedzi usłyszałam, że za odmowę zostaniemy ukarani „nieprzewidywalnymi konsekwencjami”. Kiedy usłyszałam ten szantaż, tylko utwierdziłam się w przekonaniu, że trzeba odmówić. Po trupie.

Po kilku dniach otrzymałam telefon z informacją, że autobus po nas już jedzie. Odpowiedziałam, że szkoda czasu i atłasu, bo my się nigdzie nie wybieramy. Kilka godzin później ktoś zapukał do drzwi pokoju, w którym mieszkałam z dziećmi. Wszedł starszy pan i zapytał, czy tu mieszka „pani Kora”: Był kierowcą autobusu. Powiedziałam mu, że jestem opiekunką dzieci pani Kory. Wyszedł, ale za chwilę wrócił.

Przepraszam panią bardzo, ale to pani jest panią Korą.

No i co?

No, ja przyjechałem.

- Pan przyjechał i pan odjedzie. Sam.

To był zwykły szary człowiek, nie mogło mu się pomieścić w głowie, że odmawiam wyjazdu, skoro on specjalnie przejechał tych kilkaset kilometrów wielkim autobusem. Czekał na nas do osiemnastej i odjechał. Następnego dnia musieliśmy się wyprowadzić z hotelu. Wszystkie nasze fundusze zostały zamrożone. Koncerty odwołane, wywiady radiowe i telewizyjne też. Nie wolno było o nas pisać.

Na liście przebojów „Trójki” była wtedy piosenka „Simple Story”. Ponieważ nie można było nas puszczać w radiu, jak dochodziło do miejsca, na którym byliśmy, Marek Niedźwiecki puszczał wstęp perkusyjny do utworu „To tylko tango”. Powtarzał go tak długo, jak długo trwał utwór „Simple Story”. To był znak, że to właśnie Maanam. Było to dosyć dramatyczne, bo przez trzy minuty leciała wyłącznie perkusja, ale z drugiej strony jaka wspaniała lojalność i odwaga.

Dzięki fanom i działającym wtedy bardzo aktywnie fanklubom wokół Maanamu zrobiła się wtedy rewolucyjna atmosfera. Ludzie zaczęli głośno o tym zakazie krzyczeć. To było naprawdę piękne. Nie czułam się opuszczona. Jak nigdy wcześniej okazało się, że cała nasza działalność ma sens. Że nie żyjemy w próżni. Ci ludzie, którzy przychodzili na nasze koncerty, ci ludzie, którzy pisali listy, ci, którzy pisali, że mnie tak bardzo kochają, pokazali, że tak rzeczywiście jest.

Sprawa nie cichła, władze zaczęły obawiać się nieprzewidywalnego. Zaczęto z nami pertraktować. Wiadomo było, że ze mną to bez sensu, więc pertraktowano z Markiem, który metodą makiaweliczną jakoś z tej sytuacji wybrnął. Po trzech czy czterech miesiącach zniesiono zakaz. Okazało się, że miał trwać pięć lat.



2001



Kora z Mateuszem

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY:

Czołgiem w słońca

p

o przeprowadzce do Warszawy długo tęskniłam do Krakowa. Kraków był jak przyjaciel, żywa istota. Bardzo mnie inspirował. To w Krakowie napisałam większość swoich tekstów.

„Krakowski spleen” i „Wyjątkowo zimny maj 1991” poświęcone są atmosferze Krakowa.

Dziś tęsknię za Krakowem, którego już nie ma. Za tym Krakowem z PRL-u, kiedy nie było masła i papieru toaletowego, ale kompletnie nam to wisiało. Za ludźmi, których już nie ma. Za Skrzyneckim, Litwinem, Kantorem, Niemczykiem, Dymnym, Piotrem Markiem. Moją Galią. Za całym mnóstwem ludzi dla świata anonimowych, ale dla mnie niezwykle ważnych.

Wciąż mam mieszkanie blisko Błoni. Jestem tam coraz rzadziej, ale trzymam je ze względu na Utę Kalinowską, najwspanialszą na świecie przyjaciółkę. Żeby móc być czasem blisko niej. Odwiedzam ją zawsze, gdy jestem w Krakowie. I jesteśmy w stałym kontakcie telefonicznym.

W Krakowie zawsze wrzało nocne życie, ale za moich czasów to były spotkania po mieszkaniach. Dziś nikt się tu już nocą w kuchniach nie spotyka. Są kluby, kawiarnie, restauracje. Piękny Pies i tysiące knajp na Kazimierzu. Super, ale to już nie to samo.

Za Krakowem tęsknię jak za utraconą częścią życia. Za czymś, co było bliskie, moje i nigdy nie wróci. Jak za matką, przyjaciółmi, młodością Rzadko ta tęsknota przychodzi i mija szybko, ale

intensywna jest.

„Nocny patrol” to moja ulubiona płyta Maanamu. Oddaje, co czułam i myślałam w czasie stanu wojennego. I kojarzy mi się właśnie z Krakowem z młodości. „Nocny patrol”, „Kreon” i „Zdrada” to typowe utwory stanu wojennego. „Nocny patrol” dlatego, że ja ten nocny patrol ciągle widziałam, nagrywając poprzednią płytę „O!”. Ciągłe mnie te patrole legitymowały, kiedy wracałam z nagrań, ale i odwoziły nocą do domu.

„Zdrada” też jest tekstem stanu wojennego, bo mimo że do mojego domu milicja nigdy nie weszła, to jednak 13 grudnia w Grand Hotelu w Sopocie do mojego pokoju wkroczyło nocą kilku jeźdźców apokalipsy. No i masa moich znajomych wyciągnięta została wtedy siłą z domów, przeniesiona do miejsc internowania.

Co dziwne, kłopoty z cenzurą miałam tylko w trzech przypadkach. „Parada nadzwyczaj wielkich słoni”, „Antonow” i „Oddech szczura”. To było przedziwne. „Parada nadzwyczaj wielkich słoni” powstała w czasie agresji Związku Radzieckiego na Afganistan i zinterpretowano ją jako piosenkę o „bratniej pomocy”. Tymczasem to była piosenka autentycznie wizyjna, w ogóle o Afganistanie nie myślałam, rzeczywiście opowiadała o słoniach, bo podziwiam te zwierzęta, to dla mnie stworzenia mistyczne. Pustynia pojawiła się w tekście ze względu na wizję. A ponieważ w Afganistanie też są pustynie i po tych pustyniach jeździły wtedy czołgi radzieckie, cenzura zinterpretowała te słonie jako czołgi, a fontanny piasku jako wybuchy bomb.

„Antonow” nigdy nie został puszczony w radiu. Powstanie tej piosenki zbiegło się w czasie z próbą zamordowania papieża, a mężczyzna, który był w to zamieszany, nazywał się Antonow. Cenzura jedno z drugim połączyła i zakazała rozpowszechniać. Czy ja o tym Antonowie myślałam? Sama nie wiem, może tak? Moje teksty powstają z różnych inspiracji, trochę z tego, trochę z tamtego, coś gdzieś usłyszałam. Ale nie miałam świadomości, że tak to zostanie odczytane. Podobnie było z „Oddechem szczura”. Już sam tytuł cenzurze wystarczył. Cenzura nie łapała metafor. Szostakowicz, aby oszukać cenzurę, pisał czasem w listach, że czuje się świetnie. Świetnie znaczyło beznadziejnie. O tym była z kolei moja piosenka „Czuję się świetnie”. Bo czułam się wtedy świetnie po szostakowiczowsku. Agnieszka Osiecka powiedziała mi

kiedyś, że nie wie, o co chodzi w tej piosence. Widocznie nigdy się w ten sposób nie maskowała.

„Nocny patrol” i „Wet Cat” nagrywaliśmy z angielskim producentem Neilem Blackiem, który nadał naszej grupie brzmienie specyficznie angielskie. Rozmiękczył nas trochę, ale mnie się to podobało. Nasze koncerty zawsze były bardzo ostre, ale nie da się przenieść atmosfery koncertu na płytę. Materiał do słuchania powinien być ogładzony, na nowo opracowany. Przyjemnie jest trzymać ostry kamień w dłoni przez moment, ale do dłuższego trzymania mamy to słynne jajko kamienne służące do gromadzenia energii i kontemplacji.

Neil Black miał duży wpływ na to, co robiliśmy. Bardzo utalentowany multfinstrumentalista. Podporządkowaliśmy się jego pomysłom. Czasem wbrew sobie. Krytycy, głównie niemieccy, zarzucali nam, że „Wet Cat” to Maanam, który stracił ostre brzmienie, że to płyta pod zachodnią publikę, że jest za miękka. To było niesprawiedliwe, my nie staraliśmy się skomercjalizować, tylko być może niesłusznie ulegliśmy Neilowi Blackowi.

Ze strony wytwórni RCA nie było żadnych nacisków. Im się wydawało, że wydamy płytę i będzie taki sukces jak koncertowy Za mało w nas zainwestowali, zabrakło kampanii reklamowej, a przecież płytę musi kupić więcej osób niż chodzi na koncerty

Dawaliśmy bardzo spektakularne koncerty w Niemczech, występowaliśmy w najśłynniejszych klubach i salach Frankfurtu, Monachium, Hamburga, Berlina Zachodniego. Pomógł nam w tym nasz niemiecki menedżer Bob Lyng. Na jakimś festiwalu w Niemczech Bob zadzwonił do mnie do hotelu. Po koncertach jestem zawsze bardzo zmęczona, nie udzielam się towarzysko, a on przedstawił się, powiedział, że jest dziennikarzem i że chciałby ze mną porozmawiać. Spławiłam go, ale ostatecznie umówiliśmy się na inny termin. Zaskoczyło mnie, że Bob bardzo dobrze mówił po angielsku. Okazało się, że to Amerykanin. Przyszedł. No i było bardzo wesoło. Paliliśmy, wypiliśmy sporo alkoholu. Okazało się, że jest bardzo inteligentny. Wydawało

mi się wtedy, że to superzdarzenie, że spotkaliśmy kogoś takiego jak on. I zaczęła się nasza współpraca.

Bob był dziennikarzem, poetą, wybitnym znawcą rynku, miał ogromnie dużo kontaktów. Zorganizował nam kilka tras po Niemczech. Wszystko było super. Gdziekolwiek zespół występował, wywoływał autentyczny entuzjazm. Zaczynaliśmy od małych klubów, a kończyliśmy w halach koncertowych do tysiąc pięciuset miejsc, i to w całych

Niemczech Zachodnich. Ale przyszło wielkie przemęczenie fizyczne i psychiczne. Zaczęliśmy popełniać błędy. Atmosfera zaczęła się zagęszczać. Dwa koncerty dziennie, w trasie przez dwadzieścia dni w miesiącu, olbrzymia presja, często nieludzkie warunki, małe dzieci, które co prawda chodziły już do szkoły, ale nadal potrzebowały opieki, a tę znaleźć w PRL-u to był cud prawdziwy. Czułam, że sznur, na którym się tak fajnie huśtałam - bo koncerty to przecież też wielka frajda, uzależnienie - jest coraz cieńszy, że zaraz pęknie. Nie czułam się spełniona jako matka, miałam za mało kontaktu z synami. Świat, priorytety, wszystko zaczęło mi się rozmazywać. Nie wiedziałam już, kim jestem i kim chcę być. Matką? Żoną? Kochanką? Piosenkarką? Do tego ogólna atmosfera w kraju: druga połowa lat osiemdziesiątych to bardzo niedobry okres dla Polski. Ciemny. Pełne rozprężenie, także w kulturze. Aresztowania, więzienia, straszna bieda. Po 1985 roku niczego już w Polsce nie było. Czyścić.

Byłam jedyną przytomną osobą i ciągnęłam za sobą czterech mniej lub bardziej przytomnych facetów. Codziennie musieli się napić, przesiadywali w takzwanych piekielkach nocami, bo restauracji i klubów wtedy nie było. Rano na kacu. Tak się dłużej nie dało. Przynajmniej dla mnie to było niemożliwe. W samym apogeum sławy rozwiązałam zespół.

Ostatni koncert - charytatywny dla dzieci specjalnej troski - odbył się w styczniu 1986 roku w Sali Kongresowej w Warszawie.



1995. Sesja zdjęciowa do płyty „Kolekcjoner”



1998. Zdjęcie z planu wideoklipu „Puerto Rico”



Ok. 1983



Ok. 1982



W metrze w Nowym Jorku



1977. Kamil z Szymonem. Warszawa, ul. Ogrodowa

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY:

Jako żona i nie żona

„Nadeszła w końcu taka chwila Gdy cios za ciosem pada
Skulona w wielkiej siedzę ciszy Kat wiernie każdy oddech liczy...”

Jedyne prawdziwe tango Maanam

N

ajpierw się rozwiodłam. Dopiero potem zaczęły się dziać w zespole niedobre rzeczy, o których była mowa w poprzednim rozdziale. Bardzo przeżyłam rozwód i rozpad zespołu.

Tym bardziej że te dwie rzeczy nałożyły się na siebie jak fala na falę. Zamknęłam się w domu.

Moja pierwsza wielka weryfikacja życiowa zaczęła się właśnie po rozwodzie z Markiem. Nadszedł czas, w którym musiałam pokonać strach, który we mnie głęboko tkwił i który spowodował, że... wyszłam za mąż. Jako młoda dziewczyna bardzo bałam się życia i ludzi. Marek był pierwszym mężczyzną, któremu zaufałam. Wydawało mi się, że jest mężczyzną, którego szukam. A on wyczuł, że szukam silnego mężczyzny, na którym mogłabym się oprzeć. Zależało mu bardzo, żeby ze mną być, więc starał się sprawiać wrażenie mocnego człowieka, tym bardziej że jak na swój wiek wydawał się bardzo poważny. Dopiero później, po ślubie, jak zaczęliśmy żyć ze sobą, przebywać ze sobą dzień i noc, okazało się, że jest innym człowiekiem.

Nie chodzi o to, że odsłonił się ze swoimi słabościami. Chodzi o to, że przedtem wydawał

mi się kimś innym. Rozczarowałam się.

Poczułam się oszukana - nie Marek mnie oszukał, tylko ja sama po raz kolejny się oszukałam.

Nasze małżeństwo trwało trzynaście lat, a ja coraz bardziej uzmysławiałam sobie, że nie chcę grać roli żony. Nie mogłam żyć z mężczyzną, który uważał, że „jako żona” nie mogę robić tego czy tamtego, a jako nieżona mogłabym to robić, niezależnie od tego, czy jesteśmy razem, czy nie. Po rozwodzie jeszcze przez jakiś czas próbowaliśmy z Markiem żyć w wolnym związku, ale to się nie sprawdziło. Zbyt wiele było między nami konfliktów, aby ta próba wypadła pomyślnie.

Czas po rozwodzie to był czas bardzo ciężkiej próby. Zostałam sama, bez pracy, którą kochałam, a której nie miałam siły już podolać. Przetrwalam dzięki dzieciom. Miałam świadomość, że nie powinny mnie oglądać w stanie załamania, ale nie miałam siły ich odesłać. Przecież to dziecko powinno szukać podpory w rodzicach, a nie odwrotnie. Moi synowie znieśli to mężnie. Sprostali. A ja przy nich przemyślałam wiele spraw. Przestałam innych obwiniać o mój los. Doszłam do tego, że moje życie jest w moich rękach. Jaka jestem, takie jest moje życie. Odzyskałam wewnętrzny spokój. Nareszcie zaczęłam doświadczać normalnego życia. I doceniać jego bogactwo. Dom, dzieci, przyjaciele - tego potrzebowałam. Zrozumiałam, że nie wolno rezygnować z tych wartości, bez względu na wszystko. Bez względu na to, czy jest się drwalem, czy gwiazdą. Dom jest przystanią. Życie w chaosie i agresywnym pędzie prowadzi do zgonu, vide Amy Winehouse.

Nie wiem, jaką byłabym osobą, gdybym miała normalny dom, tych samych, lecz żyjących w godnych warunkach rodziców. Nie wiem, jaka bym była, gdybym nie doświadczyła domu dziecka, skrajnej biedy, życia z alkoholikami pod jednym dachem. Przeszłam w życiu przez sytuacje, w których ludzie się degenerują. Przebrnęłam przez to bagno otaczające mnie z różnych stron w zasadzie nietknięta. Wiele zawdzięczam wyobraźni, artystycznej naturze. Ciągnęło mnie zawsze do czegoś wyższego: kina, teatru, czytania, umiejętności bycia samemu. Nie włóczyłam się, nie piłam alkoholu, nie paliłam papierosów. A przecież wokół mnie było tylko to. Nie pieprzyłam się od czternastego roku życia, tylko zakochałam się w chłopcu i nie od razu poszłam z nim do łóżka. Seks łączyłam z miłością.

Po tych wszystkich doświadczeniach najważniejszą rzeczą stał się dla mnie dom. Dom, w którym nie ma alkoholu, papierosów, gdzie byle kto nie może wejść, gdzie jest zawsze czysto. Bez względu na to,

co się ze mną działo, w jakim byłabym nastroju, dzieci zawsze były na pierwszym miejscu. Zawsze było dla mnie ważne, co czują, co myślą. Staralam się uczynić z nich przyjaciół, na dobre i na złe. Były takie sytuacje, kiedy to oni się martwili. Przychodzili do mnie i nie wiedzieli, co się ze mną dzieje, byłam w bardzo złym stanie psychicznym. Gdy czułam się tak źle, że myślałam, że już nie wytrzymam, jedyną rzeczą trzymającą mnie przy życiu był ich los. Nie miały oprócz mnie nikogo. Marek przecież był ciężko chory, bo alkoholizm jest chorobą. Nikt z mojej rodziny nie wzięłyby odpowiedzialności za moje dzieci. Gdzie by wylądowali? W domu dziecka? Czyli mieliby przechodzić przez to samo, przez co ja przeszłam? Kto by ich tak kochał jak ja?

Na szczęście nie straciłam zupełnie kontaktu ze światem. Nasz były menedżer Krzysztof Kownacki, którego znałam jeszcze z czasów hippisowskich, wpadł na pomysł, żeby zebrać teksty i muzykę tragicznie zmarłego Piotra Marka i wydać płytę. Jedyne nagrania, jakie po nim zostały, to nagrania z formacją Dpą, bardzo awangardowe i nowatorskie. Nagrywał to w domu, stosując prymitywną aparaturę jak radio Kankan, a czasami brzmi to niczym Zappa. Piotr Marek zarówno jako malarz, muzyk, jak i performer był geniuszem.

Ułożyłam jakoś teksty Piotra. Szalenie mi się podobały. Nagrywaliśmy z muzykami, którzy pracowali przedtem z Markiem w jego zespołach Düpa i Pudelsi. Płytę „Bela Pupa” poświęciliśmy jego pamięci.

Z moim byłym mężem i innymi muzykami sesyjnymi nagraliśmy płytę „Sie ściemnia” - dwuetapowo, bo Marek często był niedyspozycyjny. Graliśmy w Berlinie Zachodnim i Londynie w

słynnym klubie Marquee. Mieliśmy serię wywiadów dla radiostacji brytyjskich, BBC i zostaliśmy zaproszeni do MTV, które wyemitowało nasz wideoklip „Się ściemnia”.

Przeprowadziłam się znowu do Warszawy, zostawiając w Krakowie starszego syna. Mateusz, chociaż miał dopiero siedemnaście lat, był na tyle odpowiedzialnym młodym mężczyzną, że mogłam go zostawić samego. Utrzymywaliśmy stały telefoniczny kontakt, poza tym przyjeżdżał na weekendy do Warszawy. Natomiast mój młodszy syn Szymon wymagał opieki mężczyzny i dlatego zdecydowałam się przenieść do Warszawy, gdzie mieszkał jego ojciec - Kamil Sipowicz. Mieszkaliśmy razem z Kamilem i Szymonem w bardzo pięknym mieszkaniu.

Warszawa jest miastem, które już dobrze znałam, mieszkalam tu od 1973 do 1976 roku. Odżyły stare przyjaźnie. Zaprzyjaźniłam się z Agnieszką Osiecką. Poprosiła, żebym zaśpiewała jej piosenki na jej benefisie w ramach Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu. Znałam je doskonale, nie musiałam się ich uczyć. Wymyśliłam tylko własną formułę - nie miałam zespołu, a nie chciałam powoływać do tego dużego składu. Wpadłam na pomysł, że zaśpiewam z akordeonistą. Wypadło kapitalnie. Jeszcze przez jakiś czas jeździliśmy z tym koncertem po kraju.

Nagrałam płytę z piosenkami Kabaretu Starszych Panów. Namówił mnie do tego Antoni Roszczuk, jeden z menedżerów firmy Rogot, z którym rozstaliśmy się w potwornym gniewie w 1984 roku i którego obwiniam też między innymi o rozpad Maanamu. Nie należę jednak do osób, które chowają urazy. „Odpuść nam nasze winy jako i my odpuszczamy naszym winowajcom”. Wpuściłam zatem Antoniego do swojego domu. Zaproponował mi, żebym nagrała piosenki Starszych Panów. Spotkałam się z panem Jeremim Przyborą, wzięłam od niego teksty i wybrałam te, które mogłabym zaśpiewać. Nie te kabaretowe, śmieszne, tylko liryczne. Razem z Marcinem Pospieszalskim, który stworzył aranżacje, weszliśmy do studia na Woronicza i tam zrobiliśmy płytę, którą dokończyłam po kilku latach. Wydał ją już Kamiling Co. Bardzo przyjaźniłam się i nadal przyjaźnię z Małgosią Kittel, kiedyś żoną Andrzeja Ludewa, pierwszego menedżera Republiki. U nich na Goszczyńskiego w latach osiemdziesiątych odbywały się słynne balangi, gdzie bywali muzycy Maanamu, Republiki, Lady Pank i inni.

Maanam, mimo że nie istniał, musiał wypełniać jeszcze pewne zobowiązania kontraktowe, wyjeżdżaliśmy więc sporadycznie na koncerty. W międzyczasie dostawałam bardzo dużo telefonów ze Stanów z propozycją przyjazdu solowego. Obiecywano, że zarobię duże pieniądze, że skompletuję tam muzyków do zespołu. Nie wchodziło to jednak w rachubę, bo wysoko stawiam współpracę z Markiem i dla mnie nasz układ twórczy był zawsze krystalicznie czysty. Lepiej jest robić to, co się lubi, i zarabiać mniej pieniędzy, niż robić to, czego się nie lubi, i zarabiać dużo pieniędzy

Aż w końcu zadzwonił do mnie człowiek ze Stanów, który jako pierwszy nie proponował mi żadnych układów, tylko normalne koncerty. Marek wyszedł właśnie z nałogu, zaczął się interesować dziećmi, wracał do życia, nic w tym czasie nie grał ani nie kompono-

wał, zajął się udzielaniem lekcji angielskiego, współtworzył Radio Alex w Zakopanem. Zaproponowałam mu wspólny wyjazd i zaczęliśmy kompletować zespół. Nie był to nasz stary skład, kompletnie nowi muzycy. Starego składu jeszcze nie brałam pod uwagę. Proponowałam Rysiovi Olesińskiemu, ale urodziło mu się dziecko i powiedział, że przez dwa lata dziecka nie opuści. Bogdan Kowalewski został w Stallach po koncertach z Nalepą, a Pawła Markowskiego w ogóle nie brałam pod uwagę, bo bardzo jeszcze wtedy pił. Mieszkał koło mnie w Warszawie i widziałam go często w takim stanie, że byłaby to ostatnia rzecz, jaka by się na ziemi zdarzyła, żebym mu zaproponowała granie.

Znaleźliśmy nowych muzyków i wyjechaliśmy do Stanów. Było fantastycznie. Ludzie przyjmowali nas tak jak podobno żadnej innej grupy. Biliśmy rekordy frekwencji. Było fantastycznie zawodowo, ale przez te trzy miesiące koncertowania bez przerwy wyszło, że nie mam kontaktu z nowymi chłopakami z zespołu. I nigdy tego kontaktu nie będę miała, takiego jak miałam z Bogdanem, Pawłem i Rysiem. Przez długi czas naszej współpracy wytworzyły się między nami więzi, które trudno rozerwać niezależnie od tego, jakie się ma o sobie zdanie.

Spotkaliśmy się w Stanach z Bogdanem, który pracował w klubie jako akustyk, i doszliśmy do wniosku, że po powrocie moglibyśmy reaktywować Maanam. Okazało się, że nawet Paweł przestał pić. I grupa Maanam była na nowo gotowa do pracy.



Od lewej: Mateusz, Szymon, Marek



Kamil z Szymonem



1973. Kora z synem Mateuszem

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY:

Kaczka w wodzie

„Spirala strachu

W głowie się obraca I rośnie wraz z nami Od początku świata Niewinna, nieśmiała

Rozkosznie bezradna Gdy staje na nogi

Jest bardzo odważna

Bądź taka, nie bądź taka Bądź taka, nie bądź taka Bądź taka, nie bądź taka..." Bądź taka, nie bądź taka

M

ateusza urodziłam o 13.45 30 lipca 1972 roku w Szpitalu imienia Narutowicza w Krakowie.

To był niezwykły poród. Przeżyłam ogromne szczęście, kiedy przyszedł na świat,

wstałam, podniosłam go, przytuliłam i poszłam przed siebie, gdzieś w świat. Oczywiście nie byłam w stanie daleko iść.

W ciąży dużo się opalałam, pływałam, skakałam do wody, zupełnie jakbym nie była w ciąży. Po porodzie opadł mi ten brązowy opalony brzuszeczek.

Ale potem nie czułam się jak matka. To było trochę tak, jakbym miała zabaweczkę, przy której trzeba się sporo napracować. Byłam młoda, miałam dwadzieścia jeden lat i nie przejmowałam się zbytnio tym, że mam dziecko. Mateusz uczestniczył we wszystkim, co robiłam. Zabierałam go pod pachę, dokąd chciałam, zawsze byliśmy razem. Spał na szafie, w szafie, w

wannie, byle gdzie. Podróżował ze mną. Karmiłam go pierśią.

Jako chłopiec Mateusz zawsze dobrze się uczył, jest utalentowany plastycznie. W tej chwili ma własną firmę graficzną, robi gry komputerowe, współpracuje z koncernami farmaceutycznymi, kosmetycznymi, fonograficznymi. Był też menedżerem rapera Bolca. Ponieważ od zawsze interesował się wieloma rzeczami, można z nim na wszystkie tematy porozmawiać i jest to rozmowa partnerska. Myślę, że to ważne.

Szymon urodził się 18 stycznia 1976 roku w Warszawie. Był kosmicznym dzieckiem, przy którym nie można było być smutnym i nie było osoby, która by nie ulegała jego czarowi. Stawiam mu zupełnie inny rodzaj wymagań niż Mateuszowi. Nie był nigdy tak samodzielny jak Mateusz, ale wiedział swoje, był wymagający, a przy tym uroczy. Nawet jak mnie denerwował, to w odpowiednim momencie zawsze przychodził i łagodził sytuację.

Jego pasją od lat były deskorolka i snowboard. To jeden z najlepszych deskorolkowców w kraju. Brał nawet udział w mistrzostwach świata w Münster w Niemczech. To jego autentyczna, gorąca pasja. Podobnie jak starszy brat, jest grafikiem komputerowym, razem z Mateuszem robią nam okładki do płyt. Szymon robi też strony internetowe, pracuje jako model i robi muzykę. Jest didżejem.

Jestem zdania, że dzieci należy wychowywać z miłością, ale rozsądnie. Nie wolno się zatracać w miłości do dziecka, nie można się dziecku całkowicie poświęcać. Poświęcając siebie, tracimy siebie. Ale ostoją dziecka, nawet gdy staje się dorosłym człowiekiem, jest, była i będzie rodzina. Tak powinno być.

Nie chodzi o to, żeby mój syn był ze mną cały czas, wprost przeciwnie. Mateusz usamodzielniał się bardzo szybko. Ale kiedy jest czy będzie mu trudno w życiu, jeżeli tylko będę mogła mu pomóc, to zawsze może przyjść do mnie. Jestem jedyną osobą, która pomoże mu bez bólu. Jest to rodzaj podpory, która sprawia, że człowiek czuje swoje więzy rodzinne. Trzeba tylko pamiętać o różnicy między więzami rodzinnymi i zniewalaniem.

Dziecko musi od początku wiedzieć, gdzie jest jego miejsce. Nie może ingerować w życie dorosłych, zawsze kiedy zechce. Musi być podział ról: ja robię to, ty robisz to. Mnie wolno to, tobie tego nie wolno. Dziecko musi wiedzieć, że matka ma prawo być zmęczona, że rodzice mają stresy i problemy. Dziecko może w tych problemach uczestniczyć emocjonalnie. Uczestniczyć nie znaczy jednak wtrącać się całym swoim egoizmem. Egoizm dziecka niepowstrzymany potrafi wybijać się i przyćmiewać całą resztę. Oczywiście, tak jak od każdej reguły, i tu są odstępstwa. Pewne zasady muszą rządzić relacją matka - dziecko.

Doskonale pamiętam siebie jako dziecko i zawsze, jak się zapędzam w moralizatorstwie w stosunku do własnych dzieci, dokonuję błyskawicznej wolty pamięciowej i przypominam sobie czas, gdy sama byłam małą. Nie wolno od dzieci wymagać tyle ile od dorosłego. Nie wolno też zabijać dziecięcości w dziecku.

Kocham moje dzieci. Nigdy nie sprawiały mi kłopotu. Jestem im za to wdzięczna. Możemy być sobie wdzięczni nawzajem. Ja jestem im wdzięczna, że nie sprawiają mi kłopotów, oni zaś mi za to, że nie popełniłam swego czasu samobójstwa. Nie zostawiłam ich samych.

Dla dziecka trzeba mieć czas. Fajny czas. Jako dziecko musiałam sobie stwarzać swój własny świat w obcym i groźnym świecie zewnętrznym. Myślę, że pod tym względem moi synowie mieli dużo wspanialszy, prawie normalny dom.

Nasz dom był normalny, mimo że czasami wichrami wstrząsany. Jak w przyrodzie: raz leje deszcz, raz świeci słońce, raz jest trzęsienie ziemi, raz jest tęcza, raz jest zimno, a raz gorąco. Nie należy stwarzać wyidealizowanych warunków w imię pseudouładzonego spokoju domowego.

Nigdy w życiu nie uśmiechałam się wtedy, kiedy mi się nie chciało. Nie zajmowałam się dziećmi wtedy, kiedy nie mogłam się nimi zajmować. Wypełniałam jednak swoje obowiązki, bo gdy człowiek przestaje je wypełniać, to się rozpada. To pewien rodzaj subordynacji, który sobie narzucam.

Czasami było mi bardzo ciężko, ale dzisiaj jestem zadowolona, że było tak, a nie inaczej. Oczywiście buntowałam się i zdarzało się, że uciekałam z domu, od dzieci, ale jeśli w domu

byłam, to się nimi zajmowałam.

W październiku tego roku Szymon został ojcem. Ojcostwo jeszcze przed narodzinami przysłoniło mu świat. Oglądałam mojego wnuka

na filmach, kiedy był jeszcze w brzuchu mamy - żyjemy w trzecim tysiącleciu i poziom dzisiejszych badań USG jest zachwycający - to po prostu cud. Widziałam to maleństwo - jego paluszki, rączki, buzię, a był jeszcze maleńki jak fasolka. Ma na imię Leon!

Myślę, że sprawdziłam się jako matka. Synowie są moimi przyjaciółmi. Przy nich się nie stresuję, jestem sobą. Tak jak przy Kamilu. Ci trzej mężczyźni to moje środowisko naturalne. Jak woda dla kaczki.



1994. Sesja zdjęciowa Kory i jej syna Szymona



Wakacje. Od lewej: Kamil, Szymon niesie Mameę, Mateusz



1999. Sesja zdjęciowa do „Na Żywo” z synami Szymonem i Mateuszem



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY:

Mój bliźniak

„Bóg zabrał serce derwisza Miłość zabrała mu sen...!” Derwisz

„Zatrzymamy się w locie Nad szczytem i urwiskiem I będziemy nad Ziemią Nieziemskim zjawiskiem...” Anioł

K

ażda dłuższa przerwa w pracy niesie ze sobą niepewność. Pod- czas pracy nad płytą „Derwisz i anioł” była ona tym bardziej silna, że właśnie wkraczała nowa Polska, nowa rzeczywistość

bardzo odmienna od tego, co znaliśmy. Każdy nosił wtedy w sobie niepewność.

Nie wierzę w istnienie aniołów. Nie wierzę w chóry anielskie, trony i archaniołów ani w anioła stróża. Anioły odnajduję wśród ludzi. Ta płyta była inspirowana opowieścią o derwiszach i ich tajemniczym tańcu.

W Konyi w południowej Turcji znajduje się grobowiec Mawlawiego, jednego z największych mistyków świata. Jego znaczenie w historii jest porównywane do Mistrza Eckhardta, ibn Arabiego czy świętej Teresy. Mawlawi (Dżalal ad-Din Rumi) żył w XIII wieku. Był nie tylko

założycielem zakonu tańczących derwiszów, ale także poetą. Jego przepiękna poezja, duchowa śmiałość, obrona nieznanego w jego czasach wartości tolerancji, niezwykle wizjonerstwo, które pozwoliło mu przewidzieć zjawisko grawitacji - czynią z niego jedną z najbardziej intrygujących i najciekawszych osobowości islamu.

Mawlawi wraz z rodziną przybył do Konyi z terenów obecnego Afganistanu. Poświęcił się studiowaniu literatury, prawa i nauk ogólnych. Zaczął tworzyć utwory literackie i traktaty filozoficzne, a także stał się uczonym i muftim - znawcą prawa i wykładowcą teologii muzułmańskiej o niepodważalnym autorytecie. Kariera Mawlawiego, duchowego przewodnika wspólnoty, sprawiedliwego sędziego, uwielbianego przez monarchów i lud, wydawała się definitywnie ukierunkowana, gdy nieoczekiwany przypadek rozwił nagle jego plany i radykalnie zmienił jego życie. Spotkanie Mawlawiego z wędrownym derwiszem zachwiało jego przekonania i wiedzę, pochłonięto niczym wulkaniczna lava. Jego uczniowie opowiadali o tym wydarzeniu szczegółowo. Podczas gdy Mawlawi wykladał uczniom swe poglądy, wszedł do sali wędrowny derwisz, wskazał palcem stos manuskryptów i zapytał: „Co to jest?”. „Nie pojmiesz tego”, odpowiedział pisarz. Nagle księgi zaczęły płonąć i Mawlawi zakrzyknął: „Co to jest?”. „Nie pojmiesz tego”, odpowiedział derwisz i znikł.

Mawlawi odnalazł miłość. Bóg pozwolił, aby derwisz ukazywał się tylko Mawlawiemu. Nikt inny nie był godzien tego widzenia. Mawlawi ujrzał twarz derwisza i boskie tajemnice odsłoniły się przed nim. Zobaczył Tego, Kogo Nie Można Zobaczyć, usłyszał to, czego nikt nigdy nie usłyszał z ludzkich ust, umiłował go i w tej miłości się zatracił. Derwisz, pośrednik, a zarazem wcielenie tajemnej wiedzy, rozpalał go jak pożar; dlatego jako mistrz Mawlawi zaprzestaje wykładów i orzeczeń prawnych, zaniedbuje swoich uczniów i pogrąża się w mistycznych dyskusjach, gardzi względami i szacunkiem. Kiedy derwisz wprowadza swego przyjaciela w tajniki tańca derwiszów, zazdrośni uczniowie obrzucają go kamieniami i wypędzają z miasta. Gdy Mawlawi dowiedział się o zniknięciu derwisza, popadł w stan skrajnego przygnębienia i wysłał służących na poszukiwanie ukochanego. Owładnięty mistyczną miłością całymi godzinami tańczył z derwiszami ich wirujący taniec. On, uczony i mufti, boski poeta, asceta, upoił się miłością. Dzień i noc tańczył, a na ziemię powrócił jako obracający się firmament. Wielcy i mali słuchali jego płaczu, dawał pieniądze muzykom i rozdawał wszystko to, co posiadał, ani na chwilę nie porzucając tańca. Boskie upojenie, do którego zmie-

rza derwisz, jest odtworzeniem porządku kosmicznego, ruchu obrotowego Ziemi i planet. Życie, czas i ciała niebieskie obracają się w błyskawicznym tańcu. Porozumieć się z nimi to włączyć je w rytuał tańca.

Czemu trzymasz się ziemi jak roślina? Czyż twoje ruchy nie są kluczem do łaski? Tylko ten, który wybierze drogę związku z Bogiem, będzie umiał odkryć tajemnicę natury Aby stać się światłem, kochanek musi pozostawać w cieniu.

Taniec derwiszów wywołuje w sercu twórczą pełnię. Zawrotny upojny taniec niesie prawdziwą lekkość. Derwisze obracają się wokół własnej osi. Niektórzy tworzą saturnowe pierścienie. Widok białych fałd daje im złudne poczucie unoszenia się. Wydaje im się, że wcielają się w którąś z form planetarnych, przechodzą ze zrównania do przesilenia dnia z nocą od zimy do lata. Niebo, planety; żywioły ziemskie przeobrażają się z lekkością atomu. Ich obrót jest obrotem dusz posłusznych grawitacji. Flet lub trąba zmartwychwstania wyrwały ich z grobu. Mistyczna podróż derwisza przebiega od wschodu bytu do zachodu niebytu, od zachodu niebytu do wschodu Boga. Wir wodny, zanurzenie, przyływ, taniec unicestwienia iluzoryczne istnienie, jest alegorią przejścia w stan ekstazy. Derwisz oddaje się ekstazie z nieoczekiwaną lekkością, jego ręce słabną jak zwiędłe płatki róży, jego oczy stają się ślepe, głowa chyli się, jakby tonęła w rozrzedzonym powietrzu. Róża i płatek, planeta i atom wirują, obracając się delikatnie wokół niewidocznego słońca.

Zafascynowali mnie derwisze. To dla mnie mistycy, ludzie, dla których taniec jest sposobem spotkania z Bogiem. Poprzez taniec osiągają ekstazę i w ekstazie łączą się z Bogiem. Zdarzały się wypadki, że derwisz w czasie tańca umierał i wtedy jego połączenie z Bogiem było całkowite.

W piosence „Derwisz”, którą napisał Kamil Sipowicz, opowiadam historię Mawlawiego. Miał rodzinę, dzieci i wysoką pozycję w świecie islamu, ale zakochał się w dorosłym mężczyźnie, został on jego mistycznym nauczycielem. Nauczył go wirującego tańca. Miłość ta jednak nie spotkała się z akceptacją XIII-wiecznej społeczności muzułmańskiej i derwisza wypędzono z miasta.

Z kolei piosenka „Anioł” mówi o miłości między kobietą a mężczyzną. Gdy odnajdują się i łączą, tworzą rozłączoną kiedyś przez złośliwych bogów hermafrodytę - tworzą z powrotem anioła. Ludzie spod znaku Bliźniąt marzą o tym, aby odnaleźć swoją drugą połowę. Podobno marzenie niemożliwe do spełnienia, ale marzę...



2003. Sesja do płyty „Hotel Nirwana”



1994. Sesja zdjęciowa Kory



1999. Sesja zdjęciowa do „Na Żywo”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY:

Ekologia, głupcze

„W upalne letnie popołudnie Drzewo stanęło nam na drodze Z jednego pnia dwa drzewa
rosły Przyrównywaliśmy je do siebie" Dwa drzewa

B

óg, ten z brodą, nie istnieje. Bóg to umowne i na szczęście krótkie słowo. Jesteśmy do niego przyzwyczajeni i nadużywamy go. To, co nazywamy Bogiem, przejawia się dla mnie w świecie, w przy-

rodzie, w kosmosie. Bardzo wcześnie odkryłam, że za religią, za pięknymi słowami, za wiarą, za poświęceniem, objawieniem kryje się fałsz. Przynajmniej w tym wydaniu, które ja widziałam.

Jako dziecko modliłam się ze strachu, nic nie czując, a objawienia miałam co pięć minut, bo tak należało. Później chodziłam na religię, bo tak należało. Dość wcześnie zaczęłam sobie zadawać różne pytania i nie znajdowałam na nie odpowiedzi. Zrozumiałam, że to wcale nie jest takie proste, jak sugeruje katechizm. A może po prostu nie doświadczyłam łaski wiary?

Lubię puste kościoły i odczuwam czasem potrzebę modlitwy, nie wiem jednak, czy to potrzeba naturalna, czy wynikająca z wychowania: jak trwoga, to do Boga. Modlę się modlitwą medytacyjną. Modlitwa jest magią życia codziennego. Do kogo? Do matki, do Chrystusa, do mędrców takich jak Ernesto Sabato. To jeden z moich

przewodników. Jego „Abaddon - anioł zagłady” miał na mnie kolosalny wpływ

Jezus Chrystus to piękna postać historyczna. To człowiek, który walczył z zakłamaniami, żył prawdziwie i oczywiście miał nieoszacowany wpływ na losy ludzkości. Zgadzam się z Nietzschem, że Chrystus był pierwszym i ostatnim chrześcijaninem. Ale modlę się do niego nie jako Boga, lecz jako człowieka, tak jak się modlę do mojej matki. Mam z nią coraz luźniejszą więź, przywołuję ją w myślach, w mantrach na tej samej zasadzie co ten stary Kraków. Człowiek jest jak rakieta - startuje z ziemi, a potem znika w przestworzach, ale zanim dotrze w kosmos, odpadają od niej różne fragmenty i bezpowrotnie płoną w atmosferze. Co dociera w ten kosmos? Tego nie wiemy. Moja matka jest właśnie takim fragmentem, który straciłam w drodze w kosmos.

Przeraża mnie ekspansja Kościoła. W 1979 roku, w trakcie pierwszej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski, witałam go w Krakowie niezwykle szczęśliwa i wzruszona. Byłam wtedy w bardzo radosnym nastroju. W czasie trzeciej pielgrzymki w 1989 roku był między innymi na Agrykoli w Warszawie, dla mnie bardzo blisko, ale już się tam nie wybrałam. Kościół nie kroczy drogą świętego Franciszka. Prymas Glemp całujący trędowatego? Nawet gdyby chciał, to i takiego sekretarz by mu na to nie pozwolił.

Jeździłam do Konstancina, do ośrodka ludzi chorych na AIDS i nosicieli wirusa HIV. Prowadzili go zakonnicy kamilianie, z którymi się przyjaźnię. To ludzie, którzy czynią dobro. Pomagają drugiemu człowiekowi. Uważam, że człowiek jest najbardziej ludzki w swoich słabościach i w walce z tymi słabościami. Człowiek dobry jest najczęściej człowiekiem nękanym przez swoje słabości, nałogi, tak jak te dzieciaki z ośrodków z Konstancina czy z Piastowa. Kamilianie im pomagają żyć i jeżeli tylko mogłam, też im pomagałam. To, że im pomagałam, nie jest żadnym poświęceniem z mojej strony. Wręcz przeciwnie - to ja się od nich uczę, to ja dostaję od nich więcej niż oni ode mnie. Wiele dobrego wnieśli w moje życie. Odmienili mnie.

Chorzy na AIDS żyli wtedy z ręką śmierci na ramieniu. To były lata dziewięćdziesiąte, nie było jeszcze tych lekarstw co dziś. Oni byli odrzuceni przez społeczeństwo, ale także przez najbliższą rodzinę - to było najbardziej bolesne, bo do tej pory wydawało mi się, że miłość jest w stanie unieść wszystko. Me wyobrażam sobie, że mogłabym odrzucić mojego syna z powodu jakiejś choroby, nawet jeżeli ta choroba miałaby przejść na mnie.

Ludzie, których poznałam w Konstancinie, byli niezwykli - z jednej strony żyli ze świadomością zbliżającego się, nieuchronnego końca. Z drugiej strony - w poczuciu skrajnego odrzucenia. Ale byli tam szczęśliwi, odnaleźli się w tej grupie. To było coś niesamowitego, jak w obrębie tej grupy ludzie prości z ludźmi wykształconymi, wyrafinowanymi - bo tacy też byli w ośrodku - potrafili się dogadywać. Oni naprawdę umieli cieszyć się każdą chwilą mimo zagrożenia śmiercią, świadomości finału, który dla nas jest abstrakcją.

Jeżeli istnieje Bóg, to tylko w człowieku i w przyrodzie. Jeżeli w ogóle jest we mnie jakaś

wiara, to jest to wiara w człowieka i w przyrodę.

Kocham drzewa i porównuję życie drzew do życia ludzkiego. Boli mnie bezmyślne wycinanie drzew. Nie jestem członkiem Partii Zielonych, ale sympatyzuję z ruchem ekologicznym. To idea ludzi, którzy zdają sobie sprawę z tego, że przyroda jest potwornie zagrożona. Ponieważ bez przyrody nie możemy żyć, uważam, że to walka o nasz byt. Walka o mój byt, moich dzieci, o byt nas wszystkich, o byt całych pokoleń. Przez ostatnich sto lat nastąpiło takie spustoszenie Ziemi, jakiego nie było od początku świata. Człowiek dorosły, chcąc walczyć z przeciwnikiem, musi się zorganizować.

Chryścianizacja Litwy zaczęła się od tego, że wycinano święte gaje. Myślę, że Jezus Chrystus nie byłby z tego zadowolony. Jeżeli Bóg jest w nas, jest też we wszystkim, co nas otacza. Przecież świat to wielkie naczynia połączone - to, co się dzieje w Chinach, prędzej czy później odbije nam się czkawką. Nie można przymykać oczu na ogromną eksploatację ziemi, która dokonuje się na naszych oczach. Jestem z tymi ludźmi, którzy widzą, co się dzieje na świecie, i ubolewają nad tym. Ubolewają nad tym, co się dzieje w Mongolii, w Chinach, Afryce, Nigerii, w Ameryce Południowej, co się dzieje w Nikaragui. Wszędzie tam, gdzie jest energia, którą w sposób nieprawdopodobnie brutalny pozyskuje się ze szkodą dla środowiska i ludzi. Zdziwiam mnie, że jesteśmy zainteresowani życiem na Marsie, ale wciąż nie możemy się dogadać w kwestii programu walki z globalnym ociepleniem. Jestem za elektrowniami atomowymi, uważam, że są tysiąc razy lepsze od elektrowni węglowych, chociaż to brzmi absurdalnie po tym, co się stało w Japonii.

Ale nie będę narzekała na świat. To głupie. Naprawianie świata trzeba zaczynać od naprawiania siebie. Chcesz mieć zdrowe powietrze - zrezygnuj z samochodu, przesiądź się na rower. Nie chcesz mieć współudziału w mordowaniu zwierząt - nie jedz mięsa, nie chodź w skórach. Proste formy walki o ocalenie świata.



Sesja do jednego z pism kobiecych



1994. Koncert „Róża”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI:

Działalność madonnowa

„Róża to twoja wierność

Zdrada i wniebowstąpienie.: Róża

T

eksty piosenek piszę w łóżku, w zeszycie, zawsze ołówkiem. Jak już zaczynam, to piszę dzień i noc, co wcale nie znaczy, że nie śpię. Ale jeżeli pojawia się trud, to z nim zasypiam i się budzę.

I jeszcze raz - pracą, odrzucaniem i czyszczeniem - dochodzę do efektów, które mnie w miarę zadowolają. Jeśli już nie mam pomysłów i wiem, że już nic w mojej mózgowicy się nie urodzi, to wtedy biorę na warsztat poetów.

Lata dziewięćdziesiąte były o wiele trudniejsze do opisania niż poprzednia, w sumie prosta, dekada stanu wojennego. Lata osiemdziesiąte to był czas określonego, nazwanego protestu, czas w sumie czarno-biały. Lata dziewięćdziesiąte to czas przełomu. Nie bardzo wiedziałam, o czym mam pisać. Muzyki wokół mnie też było mało. W sumie zero inspiracji. Płyta „Róża” narodziła się z przymusu i w bólach. Ale firma Kamiling rzuciła hasło, że już najwyższy czas nagrać nową płytę - od „Derwisza” upłynęły prawie trzy lata.

Pomógł mi nieco wyjazd do Tunezji, gdzie czytałam mojego ukochanego Octavia Paza, „Malte” Rilkego i wiersze XIX-wiecznego amerykańskiego poety odkrytego na nowo w latach hippisowskich, Edgara Lee Mastersa. Na płycie „Róża” są aż trzy teksty Kamila, dwa jego wiersze: „Wieje piaskiem od strony wojny” i „Owady podniosły skrzydła

do lotu" oraz autentyczny list („List”), który przesłał do mnie w latach osiemdziesiątych z Monachium i który całkiem przypadkowo, w sposób magiczny, znalazłam jako zakładkę do książki. Tytułowa „Róża” jest piosenką sygnatyczną, z nią się najbardziej utożsamiałam i dlatego nadałam płycie taki tytuł.

Róża jest symbolem kobiecości i symbolem krwi, uniesienia i cierpienia. Jest symbolem bardzo erotycznym. We wszystkich kulturach - Wschodu i Zachodu - symbolizuje to samo: tajemnicę, miłość, zdradę. Jest symbolem Boga, piękna, przemijania i oddania. Symbolem na wskroś świeckimi na wskroś religijnym. Jest królową kwiatów i ozdobą ogrodów. Rajskiego i mojego małego ogródka także.

„Róża” tak jak wszystkie moje płyty jest o miłości. Bo wszystko jest miłością albo nie jest nią nic. Albo miłość jest we wszystkim, albo nie ma jej w niczym. Miłość jest dla mnie uniwersalną zasadą świata. Tą najważniejszą.

„Róża” odniosła wielki sukces artystyczny i komercyjny. Była to właściwie pierwsza płyta Maanamu dobrze wyprodukowana i wypromowana już w systemie kapitalistycznym. Dzięki tej płycie nowe pokolenia młodzieży poznawały Maanam i sięgały potem do starych nagrań zespołu. Dzisiaj młodzież na koncertach zna doskonale i śpiewa od początku do końca stare i nowe piosenki Maanamu. Wyjątkiem jest płyta „Się ściemnia”, najmniej znana. Chyba dlatego, że ukazała się w najgorszym momencie dla nas i dla kraju, w 1988 roku. Zespół wtedy nie istniał, a kraj też bytował w jakimś dziwnym nieokreślonym czyścicu. Był rozmazany jak plwocina.

Pisząc teksty do „Róży”, tkwiłam w klimacie bardzo romantycznym, czego efektem był tytułowy utwór, ale także „Zapatrzanie”, największy przebój z tej płyty, i inspirowany poezją Blake'a utwór „Słońce jest okiem Boga”. Trudno było mi w tym nastroju napisać tekst do jednej z rockandrollowych kompozycji Marka. Wtedy przypomniał mi się wiersz Wisławy Szymborskiej „Nic dwa razy”, nagrany już kiedyś przez Łucję Prus w konwencji quasi-jazzowej. Uznałam, że konstrukcja tego wiersza, dynamika i treść, wszystko razem genialnie nadaje się do szybkiego rockandrollowego utworu. Zadzwoiłam do Wisławy Szymborskiej z pytaniem, czy zgadza się na to, żeby jej wiersz znalazł się na płycie w moim wykonaniu. Byłam bardzo przejęta tym, że mogę rozmawiać z tak cudowną poetką. Szymborska należy do grupy poetów, po których wiersze bardzo często sięgam. Ona buduje na nowo rzeczywistość, jak dziecko, które bawi się klockami. Ona patrzy jak olbrzym na świat.

Pani Wisława zgodziła się na użycie wiersza, prosiła tylko, abym, broń Boże, nic nie dodawała. Doskonale rozumiem jej zastrzeżenie, sama nie znoszę, gdy mi ktoś zmienia choćby przecinek. Na skrót dostałam jednak jej zgodę.

Sięgnęłam też po wiersze Kamila Sipowicza, a jeden utwór, „Owady podniosły skrzydła do lotu”, napisaliśmy wspólnie. Nie mogliśmy się dokopać do oryginalnego tekstu, bardzo pięknego wiersza Kamila, który śpiewałam dwadzieścia lat temu, skompilowaliśmy więc fragmenty wydobyte z pamięci z nowym tekstem. Kamil jest moim partnerem, cenię go za intelekt, za język, za wrażliwość, za wiedzę i za wiele innych rzeczy, to chyba naturalne, że sięgam po jego wiersze. Jego tomiki poezji „Świder metafizyczny” czy „Pieśni solarne” mają grono zagorzałych czytelników. Znalazły też uznanie wśród krytyków takich, jak chociażby Henryk Berezka, Jarosław Mikołajewski czy już nieżyjący Marian Grzeszczak.

„List”, ten autentyczny list Kamila do mnie, przerobiłam, odwracając adresata - u mnie to kobieta śpiewa do mężczyzny. Dzisiaj żałuję tego posunięcia. Myślę, że powinnam go była śpiewać tak jak woryginalne.

Piosenkę „Wieje piaskiem od strony wojny”: także autorstwa Kamila, nagraliśmy, bo trwał akurat konflikt jugosłowiański 1992-95. Ten temat był nam wtedy bliski. Wojna w Bośni i Hercegowinie to był najbardziej krwawy konflikt w Europie po drugiej wojnie światowej. W pamięci symbolicznej, zbiorowej odwołujemy się ciągle do drugiej wojny światowej, wciąż na nowo ją przerabiamy, tymczasem relacje z frontów wojny jugosłowiańskiej były tak przerażające, że niczym nie różniły się w brutalności i bólu od przeżyć z początku XX wieku. Do tej piosenki

powstał teledysk zrobiony przez Piotra Dumalę. Byłam z tego powodu niesłychanie dumna, znałam i ceniłam Piotra już od wielu lat. Oglądałam jego filmy na festiwalach filmów krótkometrażowych w Krakowie, zachwycałam się jego wrażliwością i talentem. Teledysk do „Wieje piaskiem.: robił pół roku, stosując niesłychanie żmudną technikę rycia rylcem każdej sceny, każdej fazy ruchu na gipsowych tablicach. Jego teledysk zachwycił ludzi w MTV i był to nasz drugi wideoklip puszczone w tej stacji.

W okresie powstawania „Róży” zaczęłam malować Madonny - gotowym gipsowym figurom malowałam kolorowe szaty, kolorowałam twarze, robiłam makijaż. To było pod wpływem wyjazdu do Meksyku. Spotkałam się tam z niezwykle, nieznaną u nas kulturą sakralną

- bardziej odjazdową. Zachwyciły mnie meksykańskie Madonny z obłądną kolorystyką, często robione z papier-mache.

Moje Madonny dedykowałam różnym kulturom. Miałam Madonnę Islamską, Madonnę Hinduską, Chińską. Dla nas, Polaków, Madonna to blondwłosa, niebieskooka piękność w białej szacie, ale dla mnie Madonna to Pramatka. Ma wszystkie kolory skóry.

Pewien przyjaciel, brat bonifater, powiedział mi wtedy, że robię to dlatego, że tęsknię za moją matką. Sama bym na to nie wpadła, ale to chyba prawda. Jestem mu wdzięczna za to podsumowanie mojej „działalności madonnowej”. W domu dziecka, w którym się wychowałam, największe wrażenie robiła na mnie Madonna, która stała w naszym ogrodzie kwietnym. Stała w grocie - uwielbiałam spędzać przy niej czas. I tęskniłam wtedy za matką. Coś w tym musi być, że tak kocham wizerunek Madonny: figurki, obrazy Madonny na rozstajach. Nie wizerunek Chrystusa, lecz Madonny. Nawet piety, które mam w domu, trzymam ze względu na Madonny, a nie Chrystusa. Zbieram je. Mam dużo pięknych figurek. Z diabłem nie flirtuję. Nawet w sztuce mnie nie pociąga. Boję się diabła.



14.06.2005, Warszawa. Krowia Parada, malowanie krów, światowa akcja artystyczna



ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI:

Ping-pong w pojedynkę

„Ping-pong

Ping-pong

Skąd to dziecko Nie wiem skąd" Ping-pong

M

inialbum „Kolekcjoner" narodził się w ciągu jednej nocy, lekko i bez przymusu. Zaczęło się od piosenki tytułowej - usiadłam i napisałam. W Polsce nie ma rynku fonograficznego na epki, był to projekt stricte artystyczny, nie liczyliśmy na sukces komercyjny. Ale sukces nastąpił i przerósł nasze oczekiwania

„Kolekcjoner" sprzedał się w nakładzie 50 tysięcy egzemplarzy Dzięki tej płycie na nowo otworzyłam się na rzeczywistość

zaczęłam rozpoznawać ślady czasu: atmosferę lat dziewięćdziesiątych, która była dla mnie przedtem nieokreślona, trudna do uchwycenia. Już wiedziałam, o czym chcę pisać - o tym, co jest dla mnie najważniejsze, o pięknie tego świata, czyli znów o miłości.

Na fali sukcesu „Kolekcjonera" oraz moich wewnętrznych ustaleń powstała kolejna płyta „Łóżko". Także napisana bez trudu. Moją ulubioną, ukochaną piosenką na tej płycie jest właśnie „Łóżko". Łóżko to przedmiot tak codzienny, oczywisty jak powietrze. Więcej sensu i skojarzeń niesie dzisiaj słowo „kielbasa". Bez kielbasy można jednak żyć, bez łóżka nie. Pisałam tę piosenkę o piątej rano.

Pięć teledysków do tej płyty zrobił Mariusz Grzegorzek. Jeszcze się nie znaliśmy, kiedy zadzwonił do mnie i zapytał, czy nie zagrałabym roli matki w jego „Rozmowie z człowiekiem z szafy". Przesłał scenariusz. Był to dla mnie film tak niesłychanie mroczny i oddalony od tego, jaka jestem naprawdę, tak trudny, jeśli chodzi o rolę aktorską, że odmówiłam. Minął jakiś czas, powstała płyta „Łóżko" i pojawił się problem teledysków. Chciałam mieć reżysera, który nie pracuje dla żadnego innego muzyka. Dzięki Jerzemu Kapuścińskiemu i Ninie Terentiew, wtedy jeszcze z telewizyjnej Dwójki, w moim życiu znów pojawił się Mariusz Grzegorzek. Napisał zachwycający scenariusz do „Po prostu bądź" i tak zaczęła się nasza współpraca. Teledysk ten zdobył prestiżowe nagrody na Festiwalu Polskich Wideoklipów „Yach Film", między innymi jako teledysk

pięciolecia. Dzięki Mariuszowi poznałam prawdziwą pracę na planie. To artysta, któremu mogę się poddać, bo wiem, że jego wizja jest bliska mojej.

A potem nadszedł schyłek Maanamu. W 1998 roku nagraliśmy płytę „Klucz”. To nie był dla mnie dobry czas. Od kilku lat byłam już bardzo chora, ale lekceważyłam chorobę. Dla muzyka, artysty choroba to brak pracy, dlatego dopóki mogłam, udawałam, że jestem zdrowa. W trakcie pracy nad „Kluczem” nie miałam już siły udawać, bardzo cierpiałam, przeszłam operację. Nie chcę dziś do tego wracać.

W 2000 roku nagraliśmy z Maanamem płytę „Hotel Nirwana”. Po raz kolejny z Neilem Blackiem. Uważam, że płyty z nim nagrywane były najlepsze brzmieniowo. Zawsze coś wnosił. „Nocny patrol”, „Men-tal Cut”, „Róża” i „Bela Pupa” - to są płyty, które się wyróżniają.

Tekst do piosenki „Hotel Nirwana” napisał Kamil, który jest zakochany w Indiach, w Tybecie, w Nepalu. Opisał tam swoje przeżycia z podróży do Katmandu. Na tej płycie jest też piosenka „Mama”. Po raz pierwszy napisałam piosenkę poświęconą matce, za którą tak niesamowicie, intensywnie przez całe dziesiątki lat tęskniłam i tęsknię zresztą nadal, chociaż dzisiaj byłaby ponadstuletnią panią.

To była ostatnia płyta ze starym składem Maanamu. Potem się rozstaliśmy. Dlaczego? Mówi się, że jeżeli nie wiadomo, o co chodzi, to chodzi o pieniądze, i w tym wypadku po części też tak było. Członkowie zespołu mieli pretensje i do mnie, i do Marka, a ja już byłam tym naprawdę zmęczona. Zespół jednak pozostał, tyle że w nowym składzie - oprócz mnie i Marka w skład nowego zespołu weszli Janusz „Janina” Iwański, Bogdan Wawrzynowicz, Cezary Kaźmierczak i Jose

Manuel Alban Juarez. W 2004 roku nagraliśmy płytę „Znaki szczególne”. Ostatnią płytę Maanamu.

Marek podczas koncertu spadł ze sceny, złamał nogę i to go wyłączyło z koncertów. Musieliśmy kontynuować trasę koncertową bez niego. To było trudne, skomplikowane złamanie, nieobecność Marka przedłużała się. Brak rytmicznego gitarzysty grającego te akordy spinające całą muzykę, integralną część piosenek, odbijał się na jakości koncertów, zaczęłam więc szukać muzyka, który by Marka zastąpił. To już jednak nie było to samo. Tkwiliśmy w tym układzie na siłę. Ja tak nie potrafię. Ani w życiu prywatnym, ani artystycznym.

Nagrałam później singiel „Tu jest mój dom”. To jest piosenka odpowiedź na zadawane mi dziesiątki razy pytanie: dlaczego nie zostałam za granicą, kiedy mogłam. Przecież jeździłam po świecie jeszcze w latach osiemdziesiątych i później. Rzeczywiście miałam takie propozycje i mogłam zostać, ale nigdy tego nie rozważałam. Ja po prostu kocham ten kraj, ten język. Są ludzie, którzy wyjeżdżają i zaczynają od nowa w innym świecie, i są tacy, którzy zostają bez względu na okoliczności. Nie mogą żyć poza tym zapachem, tym krajem, językiem, przyrodą, ludźmi, kulturą jedzenia, smakami. Po prostu gdzie indziej czują się nieszczęśliwi. Ja należę do takich właśnie osób. Home sweet home. Tylko tutaj oddycham pełną piersią i czuję się dobrze. Taka ze mnie sójka, co wybiera się za morze...

Pięć lat temu rozstałam się ze swoim kompozytorem, byłym mężem i liderem zespołu Maanam - Markiem Jackowskim. Był to skok na głęboką wodę. Przez kolejne pięć lat szukałam muzyków, producentów, eksperymentowałam i czasami błądziłam. Od roku skład muzyków ustabilizował się. Znalazłam świetnego kompozytora i gitarzystę Mateusza „Waszkę” Waśkiewicza. Jest on autorem prawie wszystkich kompozycji na mojej najnowszej płycie „Ping-pong”. W skład zespołu wchodzi także Krzysztof „Arnik” Skarzyński - solowy gitarzysta, Marcin Ciempiel, którego sprowadziłam z Kalifornii - grał już w Oddziale Zamkniętym, Maanamie, Aptece i Wilkach, oraz Artur Hajdasz, syn perkusisty legendarnych Breakoutów - walił w bębny w Pudelsach, Homo Twist, Aptece i Made In Poland.

Płyta „Ping-pong” rodziła się lekko, także jeśli chodzi o warstwę słowną. Dziesięć piosenek, dziewięć moich. Na poziomie tekstów zaczynałam od zdania, od frazy, od myśli, obrazu czy snu. To płyta w stu procentach instrumentalna, jeżeli mój głos potraktować jak

instrument. Gitara solowa, gitara rytmiczna, gitara basowa, perkusja, cymbały, akordeon, wiolonczela, flet.

Piosenka „Strefa ciszy” to mój manifest ekologiczny. Subiektywna wizja przyrody zmęczonej destrukcyjną obecnością człowieka, Śpiewam o tym, jak człowiek jest postrzegany przez górę, rzekę i trawę. Nie mają one nic dobrego do powiedzenia o człowieku. Budując autostrady, kaleczymy matkę ziemię, wycinamy lasy bez żadnej refleksji na temat odczuwania tego przez te byty, które też zamieszkiwane są przez duchy czy Boga, jak kto chce. Ekologiczne katastrofy w Nigerii, Nowej Zelandii, w Zatoce Meksykańskiej, eksploatacja Mongolii i składowanie odpadów nuklearnych w Tybecie to armagedon dla przyrody.

Wiele dała mi przyjaźń z Rysiem Grzybem, który oprócz tego, że jest absolutnie genialnym malarzem, jest też filozofem i poetą. Rysiu jest znany w środowisku ze swoich zdań ulotnych. Zaczęłam je czytać i byłam oczarowana tym, jak on to wszystko zwięźle ujmuje i zamyka w słowach. A potem wpadłam na to, że mogę z tych myśli stworzyć tekst „Spójrz prosto w oczy chwili”. Z kolei z olbrzymiego poematu „Bicie mojego serca” przemyskiego poety Józefa Kurylaka zmontowałam piosenkę „Ping-pong”, która stała się tytułem płyty. To piosenka opowiadająca o odwiecznej walce dobra i zła; szatana, którego obciążamy swoimi winami, i anioła, któremu nie chcemy przypisać swoich zasług. W tekście pojawia się pytanie: skąd to dziecko, skąd. Ja wiem skąd, ale zostawiam słuchaczom przestrzeń do domysłów.

Piosenka „Nie jestem biała i nie jestem czarna” jest moją próbą rozliczenia się z samą sobą. Z własną niejednoznaczną, płynną, zmienną tożsamością. Zygmunt Bauman na rockowo.



2008. Stylizacja Paprocki & Brzozowski. Sesja do „Wysokich Obcasów”



19.08.2011, Gorzów Wielkopolski. Koncert w amfiteatrze



20.06.2009 Warszawa. Sala Kongresowa PKiN, drugi dzień Kongresu Kobiet Polskich „Kobiety dla Polski, Polska dla kobiet”



24.03.2004, Warszawa, koncert Maanam w klubie Skarpa



16.04.2000, koncert z okazji 25-lecia zespołu



„Must Be The Music”

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY:

Jestem, żyję, istnieję

U

dział w „Must Be The Music” zaproponowała mi Nina Terentiew w grudniu 2010 roku podczas wigilijnego spotkania Klubu 22 [w jego skład wchodzi wpływowe kobiety ze świata polityki, biz-

nesu, kultury, nieformalną szefową klubu jest Henryka Bochniarz, z którą Kora serdecznie się przyjaźni - [przyj. red.]. Po raz pierwszy nie powiedziałam „nie”. Ta propozycja nadeszła w szczególnym dla mnie momencie. Właśnie porządkowałam swoje życie. Zerwałam wszystkie więzi zawodowe z ludźmi, z którymi do tej pory pracowałam. To dodało mi niesamowicie dużo energii, poczułam, że mogłabym takiemu zadaniu sprostać, nie tracąc przy tym siebie. Obejrzałam oryginalną, brytyjską wersję tego programu. To miało naprawdę wysoki poziom - kompetentne muzycznie jury, wybierane nie ze względu na urodę. Potem okazało się, że producent polskiej edycji programu Jan Kępiński, za namową Ani Żak, nie wyobraża sobie jury bez mnie. To był warunek, który postawił stacji. Poczułam się wyróżniona. I tak od słowa do słowa zgodziłam się. Zupełnie jakbym wsiadła do nowego pojazdu z nowymi siłami.

Program nie jest zły. Pokazał mi, że Polska nie jest totalną muzyczną pustynią. Ujęli mnie ci ludzie, którzy pokazali, że muzykują na co dzień. Na naszych oczach rodzi się nowy dobry snobizm - dzieci zaczynają się uczyć muzyki, tak jak gry w tenisa i języków obcych.

A ja pokazałam się wreszcie ludziom. Zobaczyli, że jestem. Na pewno część młodszych widzów tego programu dopiero mnie odkryła - to zresztą zaczęło się przekładać na frekwencję podczas koncertów. Mam coraz więcej młodych odbiorców, nareszcie w pełni istnieję ja, Kora, a nie fragment większej całości, jakim był Maanam. To mi odpowiada, nad tym pracowałam, są efekty i to daje mi bardzo dużo psychicznego komfortu.

Udział w „Must Be The Music” okazał się też dużym wyzwaniem czysto fizycznym. To jest ciężka praca, po kilkanaście godzin dziennie na planie. Dla mnie nowość. Nagle znalazłam się w dużej grupie ludzi, z niektórymi musiałam bardzo blisko współpracować, a nie lubię tłumów. To jest dla mnie wciąż trudne. Pojawił się dla mnie nowy rodzaj popularności. Muszę udzielać więcej wywiadów, mówić częściej o sobie. Pojawili się paparazzi, nagle jestem wszędzie. Ratuje mnie tylko to, że mam cudowny dom, w którym mogę się schronić.

W tym roku obchodzę trzydziestopięciolecie działalności artystycznej. Wydaliśmy z tej okazji dwadzieścia sześć (!) moich płyt na nowo - zremasterowanych, w nowej oprawie.

Dwadzieścia sześć płyt. Mój dorobek. Ale nie lubię zaglądać w przeszłość. Dla mnie przeszłość w pewnym sensie nie istnieje, nie zaglądam w przeszłość po to, żeby głaskać to, co zrobiłam, i się tym zachwycać. Ona żyje w emocji, dużo w tym jest zdziwienia nad upływem czasu, zdumienia, że gdzieś tam siebie pamiętam inną. Całą moją energię kieruję jednak na to, co teraz. A mam bardzo dużo pracy. Stawiam sobie wysoko poprzeczkę i wkładam maksymalnie dużo wysiłku, żeby temu sprostać. Przyszłość? Też o niej nie myślę. Żyję konkretem. Z godziny na godzinę, z dnia na dzień.



Kora w obiektywie Jacka Poremby



Ok. 1992. Atelier Zbigniewa Krygiera

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY:

Kamil

p

oznaliśmy się na początku lat siedemdziesiątych. A było to tak: nie mogliśmy z Markiem odnaleźć się w Krakowie. Byliśmy po ślubie, mieliśmy małe dziecko i żadnych szans na mieszkanie.

Ja bezdomna. On bezdomny. Postanowiliśmy przeprowadzić się do Warszawy Joanna Borawska i jej ówczesny mąż Heniu Juengst, zaprosili nas do swojego domu na Noakowskiego, domu po dziadkach Joanny, wielkiego, podzielonego w komunie na mieszkania komunalne. Zaprosiła nas de facto do siebie do pokoju, gdzie mieszkała z mężem z dzieckiem. Wielki gest. Mieszkaliśmy u niej kilka miesięcy. Z jej pomocą znaleźliśmy dwupokojowe mieszkanie w nowym budownictwie przy ulicy Ogrodowej, które wynajęliśmy za nieduże pieniądze. Nadal byliśmy bardzo ubodzy, ale Marek zaczął pracę w „Jazz Forum” jako dziennikarz, a ja robiłam biżuterię. Jakoś to się kręciło.

Mieszkaliśmy na czwartym piętrze. Odwiedzała nas masa ludzi i okazało się, że wielu naszych przyjaciół przyjaźni się także z naszym sąsiadem z siódmego piętra. To był Kamil. Mieszkał z matką. Zaczął nas odwiedzać. Coraz częściej. I tak żeśmy się spotykali, spotykali, aż w końcu Kamil mi się przyśnił. Miałam dwadzieścia trzy lata, on dwadzieścia jeden.

To był sen jasny, piękny, erotyczny, ale nie taką bezpośrednią erotyką, takich snów nie

mam. Zaczęłam wtedy patrzeć na tego sąsiada z siódmego piętra inaczej. Tak to się zaczęło. Zdradziłam Marka, zasłam z Kamilem w ciążę, ale przez wiele lat ukrywałam, że jest ojcem Szymona. Został uznany za dziecko Marka. Kamil wybrał drogę naukową, wyjechał do Niemiec robić doktorat. Niby mnie kochał, ale wybrał ten inny świat, inną przyszłość. A ja zostałam z tym wszystkim. To był trudny czas. Nerwy, emocje, rozterki. Postanowiłam się rozwieść po powrocie do Krakowa. Zamieszkałam sama z dziećmi. Jako Maanam byliśmy już bardzo znani. Graliśmy mnóstwo koncertów. Zaczęliśmy zarabiać pieniądze, stać nas było na to, żeby wynajmować opiekunki do dzieci. Potem, w 1985 roku, postanowiłam zawiesić działalność koncertową, skoncentrować się na dzieciach, na sobie. Byłam skrajnie, psychicznie i fizycznie rozbita. W domu zaczęłam odnajdywać się zarówno jako osoba prywatna, jak i artystka. Nagle okazało się, że mam przyjaciół, że mamy czas, aby się spotykać, że są dzieci, z którymi można już porozmawiać, spędzić cudownie czas. W naszym życiu pojawiła się fantastyczna opiekunka, która była mi jak mama - pani Lusia. Cudownie opiekowała się moimi dziećmi. To dawało mi bardzo duży komfort psychiczny. Wyciszyłam się, uspokoiłam. I Kamil zaczął przyjeżdżać do nas z Niemiec. Wspaniale zajmował się dziećmi, przywoził im wspaniałe książki, bardzo rozwojowe, pierwszy komputer. Zaczęliśmy jeździć wspólnie na wakacje. To niedojrzałe dziecko, które nas zostawiło, nagle okazało się wspaniałym kompanem zabaw. To dziecko w mężczyźnie jest bardzo dobre dla dorastających chłopców. Nasz syn zaczął odczuwać z Kamilem silną więź - to zaczęło się wyłaniać z siłą bambusa. Szymon zaczął czuć, że to Kamil jest jego ojcem, mimo że Marek był dla niego bardzo dobrym ojcem. Tak zaczęły mijać 1986, 1987, 1988, 1989 rok. Nagle okazało się, że Kamil po dziesięciu latach wraca do Polski. Zrobił doktorat. Przenieśliśmy się do pięknego mieszkania na Rozbrat w Warszawie. Kamil, Szymon i ja. Mateusz został w Krakowie, kończył tam liceum Nowodworskiego. Nie chciał się przeprowadzić do Warszawy, był już bardzo dojrzały intelektualnie, samodzielny, często go odwiedzałam.

Był 1989 rok. Sytuacja w Polsce zaczęła się stabilizować. Zaczęłam wyjeżdżać na koncerty do Stanów, zarobiłam pieniądze. Kamil wpadł na pomysł, żeby założyć własną firmę wydawniczą. Zaczęliśmy odkupywać prawa do naszych utworów i tak powstała firma Kamiling.

Uzyskaliśmy autonomię. Mogliśmy sobie pozwolić na realizowanie naszych pomysłów. Na Rozbrat mieszkaliśmy do 1995 roku. Za namową Tomka Raczka, który był wtedy szefem „Playboya”, a Kamil dla niego pisał, przenieśliśmy się pod Warszawę, blisko lasu. Szybko okazało się jednak, że to nie jest miejsce dla nas. Chcieliśmy wrócić do miasta. Mieliśmy wielkie szczęście - znaleźliśmy dom w przepięknym miejscu, na Żoliborzu. Mieszkamy tu już dwanaście lat.

Dobudowaliśmy drugi domek, dzięki temu możemy żyć razem i też bardzo osobno, co z wiekiem stało mi się bardzo potrzebne. Kamil też lubi żyć w swojej przestrzeni, w swoim świecie. Pisze, maluje, rysuje, rzeźbi. Wydał niedawno książkę „Hipisi w PRL-u”, właśnie ukazuje się jego „Czy marihuana jest z konopi?”.

Na Rozbrat zamieszkał nasz syn Szymon z dziewczyną. Właśnie urodziło im się dziecko. Piękny chłopiec. Leon Sipowicz. Mój starszy syn jest kawalerem. Żyje jak wolny strzelec. Jako rodzina trzymamy się razem, tworzymy bardzo rodzinny projekt - przyjaźnimy się, wspieramy i pracujemy ze sobą. Mamy suczkę Ramonę, którą bardzo kochamy.

Mogę tylko powiedzieć: chwilo, trwaj, jesteś piękna.



18.05.1992, Warszawa księgarnia Odeon. Kora Jackowska podpisuje nową książkę „Podwójna linia życia”, obok Kamil Sipowicz



Ok. 1992. Sesja w domu

Teksty ulubionych piosenek Kory
Samotność mieszka w pustych oknach
Olga Jackowska

Ocalić nagość albo kłamać Obrazy pędzą jak szalone Labirynt znaczeń i milczenia Poecie grozi zapomnienie

Samotność mieszka w pustych oknach Czas jednostajnym przemijaniem

Nie ma komunii bez miłości

Komunia stała się skandalem

Ludzkość to bestia której głowy Do ładu dojść nie mogą

Sklócone z sobą zapomniały Że jeden tułów jest i ogon

Lustra rozumu mnożą koszmary Świat magii odszedł w zapomnienie Orfeusz mieszka w naszych sercach Sen stał się naszym wybawieniem

Samotność mieszka w pustych oknach Czas jednostajnym przemijaniem

Nie ma komunii bez miłości

Komunia stała się skandalem

Ludzkość to bestia której głowy Do ładu dojść nie mogą

Sklócone z sobą zapomniały Że jeden tułów jest i ogon

KAMIL SIPOWICZ

Oddech szczura

Ołga Jackowska

Co tak szura, to sierść szczura Pierwszy szczur jest już na murach I ociera się o ściany

Stoi cały rozczochrany

Szumi, szura i szeleści

Oddech szczura ściany pieści I podnosi w górę Ziemię

Szczurze plemię, szczurze plemię

Nogi, nogi, setki nóg Tupią, tupią, tup, tup, tup Nogi, nogi, setki nóg "kipią, tup, tup

Szczury tłoczą się w piwnicach Niespokojna okolica

Miasto w dymie, miasto ginie Pierwszy szczur jest już na linie

Ciemną nocą słyhać piski Syczą groźne szczurze piski Bez litości, bez ochłody Gilotyna ścina głowy

Nogi, nogi, setki nóg Tupią, tupią, tup, tup, tup Nogi, nogi, setki nóg Tupią, tup, tup

Szumi, szura i szeleści

Oddech szczura ściany pieści I podnosi w górę Ziemię

Szczurze plemię, szczurze plemię

Szczury tłoczą się w piwnicach Niespokojna okolica

Miasto w dymie, miasto ginie Pierwszy szczur jest już na linie

Nogi, nogi, setki nóg Tupią, tupią, tup, tup, tup Nogi, nogi, setki nóg Tupią, tup, tup

Sie ściemnia

Olga Jackowska

Ściemnia się, głodne źrenice Skradają resztki światła Ściemnia się, czarny horyzont

Zachodzi na czoło

Ściemnia się, myśli zawodzą Kulą się ze strachu

Moje serce jest czarne

Jak dłonie palacza

Stoisz tak cicho

Wiem, choć nie patrzę Odchodzisz, czuję

Ale nie płaczę

Eksplozja

Ołga Jackowska

Wszystko ma swoją formę, liść, drzewo, jaszczurka Woda w oceanach jak w czarach spoczywa

Ogień w kominach spala się bezpiecznie Ziemia zamknięta słowem krąży po elipsie

Eksplozja

Eksplozja

Powietrze przybiera kształt rzeczy dowolny Ja wciąż taka sama w gestach mimowolnych
Żyjemy obok siebie spokojnie do chwili

Gdy gniew rozsadza formy, a treść eksploduje

Eksplozja...

Kto powstrzymać może powietrze i wodę Kto Ziemi rozkaże cofnąć rozżarzoną lawę Kto
stanie na drodze mego zniechęcenia Do form coraz ciasniejszych i ich

Przeznaczenia

Eksplozja...

Kraków - ocean wolnego czasu

Olga Jackowska

Ocean wolnego czasu

Kraków Kraków Kraków Kraków Jak rtęć w rozbitym termometrze Bez nocy zawsze tuż
nad ranem Nadmiar piękna oddech zapiera Cudowny beczas jak zakochanie Tu rozpoznało się
przeznaczenie Mężczyzna i młoda kobieta

Wódka za wódką głowa w dymie Alkohol leje się strumieniem

I nagle dzwonek cisza dzwonek Jedyny w swym rodzaju moment

Czarna Madonna Czarny Anioł

Za każdym razem ten sam dreszcz Jedna jedyna w swym rodzaju Niedostępna złodziejka
serc

Ocean wolnego czasu

Kraków Kraków Kraków Kraków Jak rtęć w rozbitym termometrze Bez nocy zawsze tuż
nad ranem

W sobotę ciągnie się na Rynek Do łoży mocno utajnionej Każdy marzy by na zapleczu Być
choć raz przez moment

Wódka za wódką głowa w dymie Alkohol leje się strumieniem

I nagle dzwonek cisza dzwonek Jedyny w swym rodzaju moment

Czarna Madonna Czarny Anioł

Za każdym razem ten sam dreszcz

182

Jedna jedyna w swym rodzaju Niedostępna złodziejka serc

Ocean wolnego czasu

Kraków Kraków Kraków Kraków Jak rtęć w rozbitym termometrze Bez nocy zawsze tuż
nad ranem

183

Mentalny kot

Olga Jackowska

Kiedy w nocy zobaczysz dwa jarzące się punkty

Nie bój się nie bój się nie bój się

Kiedy nagle poczujesz że ktoś cicho się skrada

Nie bój się nie bój się nie bój się

O! O! mental cat

O! O! tak to ja

O! O! mental cat

Mam niebieskie futerko

I uwielbiam wciąż latać

Mental cat Mental cat Mental cat

Nie bój się kiedy z dachu ci ogonem pomacha Mental cat Mental cat Mental cat

O! O! mental cat O! O! tak to ja O! O! mental cat

Gdy za rogiem ktoś płacze ale słyhać też śmiech O zatrzymaj zatrzymaj się

Spojrzyj w lewo a potem spojrzysz w prawo a potem Dookoła rozejrzyj się

O! O! mental cat O! O! tak to ja O! O! mental cat

Kiedy w nocy zobaczysz dwa jarzące się punkty Nie bój się nie bój się nie bój się

Spojrzyj w lewo a potem spojrzysz w prawo a potem Dookoła rozejrzyj się

O! O! mental cat O! O! tak to ja O! O! mental cat

PING-PONG

Sł. Olga Jackowska i Józef Kurylak, na podstawie poematu Józefa Kurylaka „Bicie mojego serca”, muz. Mateusz Waśkiewicz

Śpię jest noc a jakieś dziecko Czarną piłką we mnie rzuca Ping-pong ping-pong

Skąd to dziecko nie wiem skąd

Diabła znieważyla diabla obraziłam Zwaliłam mu na głowę całe własne zło Ciemny strach ping-pong

Skąd to dziecko nie wiem skąd

Pełza dusza wśród motyli

Cztery czarne krokodyle

Syczą latarnie świata nie ogarniam Pong skąd to dziecko nie wiem skąd

Ref.

Ping-pong ping-pong

Skąd to dziecko nie wiem skąd

NIE JESTEM BIAŁA I NIE JESTEM CZARNA

Sł. Olga Jackowska, muz. Mateusz Waśkiewicz

Nie jestem biała i nie jestem czarna Zgubiłam język i chęć do działania Przeszłości nie ma bo już się przeżyła Jestem szara jestem córką kamienia

Słońce nagrzewa moje nagie ciało

Leżę cicho w totalnym bezruchu

Donikąd nie zmierzam nie zmierzam leżę Leżę zawsze z twarzą do nieba

Nie jestem biała i nie jestem czarna Zgubiłam język i chęć do działania Przeszłości nie ma bo już się przeżyła Jestem szara jestem córką kamienia

To sztuka leżeć nic nie robić

Nie jeść i nie pić jak w lecie zająca Być tak blisko ziemi i tak blisko nieba

Jak nie ma początku tak i nie ma końca

Nie jestem biała i nie jestem czarna

Woda obmywa moje nagie ciało

Jestem szara jestem córką jestem córką kamienia To co istnieje jest tutaj i teraz

STREEA CISZY

Sł. Olga Jackowska, muz. Mateusz Waśkiewicz

Co mi mówi rzeka

Kiedy nad nią siedzę

Rzeka po cichu mi mówi

Że mnie nie lubi nie lubi nie lubi

Nie przyjaźnię się z tobą Mówi do mnie góra

A las gdy po nim chodzę Mówi że mnie zgubi zgubi

Czemu po mnie deptasz I dlaczego kosisz

Chcę rosnąć i zniknąć

Na swój własny sposób

Żyjemy w strefie ciszy
Żyjemy poza słowem
Nie znamy strachu i litości Nie mamy serca skóry kości
Ref.
Tylko ziemia się nie zmienia x razy!

Dyskografia

SINGLE:

MAANAM

Hamlet (1979)

Boskie Buenos (1980)

Szare miraż (1980)

Och, ten Hollywood (1981) Cykady na Cykladach (1981) Oddech szczura (1981)

Kocham cię kochanie moje (1983) Tango (1984)

Lipstick On The Glass (1985) Simple Story (1985)

Jesteśmy ze stali (1986)

Róża (1994)

Kolekcjoner (1995)

Lóżko (1996)

Maanam świątecznokarnawalowy (1996)

Sahara (1997)

Smycz (1997)

Hamlet 1997 (1997)

Puerto Rico (1998)

Miłość od pierwszego spojrzenia (1998)

Przystań (1998)

Piekło i niebo (2000)

Chińskie morze (2001)

Wolno wolno płyną łodzie (2001) Bliźniak (2001)

Jeszcze jeden pocałunek (2001) 0! Nie rób tyle hałasu (2002) Kraków — ocean wolnego czasu (2004)

189

MAANAM

Do kogo biegłam (2004)

To mi się śni (2004)

Trzy imiona (Pustynia) (2005) Karuzela z madonnami (2005) Tu jest mój dom (2005)

Głęboko w sercu (2006)



ALBUMY POLSKIE:

Maanam (1981) - remaster 2011 0! (1982) - remaster 2011

Nocny patrol (1984) - remaster 2011 Mental Cut (1985) - remaster 2011 Sie ściemnia (1989)
- remaster 2011

Derwisz i anioł (1991) - remaster 2011 Róża (1994) - remaster 2011

Lóżko (1996) - remaster 2011

Klucz (1998) - remaster 2011

Hotel Nirwana (2001) - remaster 2011 Znaki szczególne (2004) - remaster 2011 The Rest Of
Maanam (2011)

ALBUMY ZAGRANICZNE: Night Patrol (1983) - remaster 2011

Totalski No Problemski — Maanam In Concert (1984) Wet Cat (1985) - remaster 2011

ALBUMY KONCERTOWE: Kminek dla dziewczynek (1983)

Czuję się świetnie - ścieżka dźwiękowa z filmu (1984) Live (1988)

Maanamaania (1993)



REEDYCJE:

- Maanam* (2011)
- O!* (2011)
- Nocny patrol* (2011)
- Mental Cut* (2011)
- Ścieśnia* (2011)
- Derwisz i anioł* (2011)
- Róża* (2011)
- Lóżko* (2011)
- Klucz* (2011)
- Hotel Nirwana* (2011)
- Znaki szczególne* (2011)
- Singles Collection* (2011)
- Kora i Püdelsi: Bela Pupa* (2011)
- Ja pana w podróż zabiorę* (2011)
- Kora Ola Ola!* (2011)
- The Rest Of Maanam* (2011)
- The Best Of Maanam* (2011)
- Wet Cat* (2011)
- Night Patrol* (2011)
- Rockandrolle* (2011)
- Ballady* (2011)





KOMPILACJE:

Maanam 83/85 (1985)

The Best Of Maanam (1986) - remaster 2011 77w Best Of... (1986)
Collection (1990)

77w Best Of Kora & Maanam vol. I (1991) 77w Best Of Kora & Maanam vol. II (1991)

77w Singles Collection (1991 + 1995)

Nocny Patrol '91(1991 + 2000)

Nie bój się (1991)

77w Best Of Kora & Maanam - Czerwień (1992) 77w Best Of Kora & Maanam - Błękit

(1992) 77w Best Of Kora & Maanam - Fiolet (1992) Ballady (1993 + 1995) - remaster 2011

Rockandrolle (1997) - remaster 2011

Kocham cię kochanie moje (2000 + 2005) Gold (2000)

Paranoja jest gola - Best Of (2005)

Maanam (2005)

Raz-dwa, raz-dwa (2006)

Przebojowa kolekcja Dziennika vol. I (2007) Przebojowa kolekcja Dziennika vol. II (2007)

DWUPLYTOWE WYDANIA SPECJALNE:

The Best Of Kora & Maanam (2000 + 2004)

Róża/Ballady 95 (2000 + 2004)

The Singles Collection 95/Nocny patrol (2001 + 2004)

Night Patrol/Live/Kminek dla dziewczynek (2001)

Wet Cat/Totalski No Problemski (2001) Mannam/0! (2002)

Mental Cut/ Sie ściemnia (2002) Maanamaania Warszawa/Chicago (2002)

Derwisz i anioł/Klucz (2004) 10 lat Złotej Kolekcji (2008)



BOX-SET:

Simple Story (2005)

VIDEO/DVD:

Obiad z Maanamem (1985)

Mawiam i Goście — 25-lecie zespołu (2001) Złote DVD vol. II (2003)

Złote DVD vol. I (2004)

Złote DVD vol. I & II (2004)





KORA

- Kora i Püdeli - Bela Pupa (1988) - remaster 2011
- Ja pana w podróż zabiore (1993) - remaster 2011
- Sukces [singiel] (2000)
- Magiczne słowo sukces (2002)
- Kora Ola Ola! - Nim zakwitnie tysiąc róż [singiel] (2002)
- Kora & Bexa Lala - Kraina bólu [singiel] (2003)
- Kora Ola Ola! - Pod papugami [singiel] (2003)
- Kora Ola Ola! [album] (2003) - remaster 2011
- Kora Ola Ola! - Wyjątkowo zimny maj [singiel] (2003)
- Kora i Püdeli - Bela Pupa/Kora - Ja pana w podróż zabiore (2004) Kora & 5th Element -
Metamorfozy (2008)
- Zabawa w chowanego (2009)
- Nigdy nie zamknę drzwi przed tobą (wersja M. Maculca) [singiel] (2010) Ping Pong (2011)



Spis treści

MOJE URODZINY - ÓSMY CZERWCA	5
WSTĘP	9
Podwójna linia życia	13
Byłam numerem osiem	19
Milu, to się już jutro skończy	33
Mućka, Pipi, Ramona i Pimpus	43
Pies, którego kochałam	47
Lita i Minotaur, moje anioły	51
Śmierć na wzór czeski	57
Marek	61
Ciągle pan pyta, co sędzę o mężczyznach	73
Cher, pani Luscia i inne	77
H. Miłość, seks i domy publiczne	83
Zakazany owoc smakuje lepiej	87
Język Kościoła	91
Taxi patrol	97
Wiesiu od swojej i mojej wielkości	105
Rok 1984	109
Czołgiem w słońca	113
Jako żona i nie żona	123
Kaczka w wodzie	131
Mój bliźniak	139
Ekologia, głupcze	145
Działalność madonnowa	151
Ping-pong w pojedynkę	157
Jestem, żyję, istnieję	167
Kamil	171
TEKSTY ULUBIONYCH PIOSENEK KORY	177
DYSKOGRAFIA	189

